

ROLA

Rok VI.
Kraków, dnia 25 lutego 1912 r.
Nr. 8.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Zygmunt Krasiński.

Dnia 23 lutego b. r. święcił Kraków a z nim cała Polska stuletnią rocznicę urodzin jednego z największych wieszczów narodu naszego. Sto lat bowiem minęło w dniu 19 lutego od chwili, kiedy Zygmunt Krasiński ujrzał światło dzienne. Już w kalendarzu naszym na rok bieżący na str. 73 i 74 daliśmy życiorys tego wielkiego poety, dziś chcemy pokrótce przedstawić jego wzniosłe dążenia i pragnienia, jakim dał wyraz w swych utworach.

Do najwspanialszych jego utworów należą *Psalmy przyszłości*, w których z godną podziwu siłą i zwartością języka poucza poeta, że Polska odrodzić się może politycznie jedynie przez bohaterstwo cierpienia i odrodzenie moralne, przez braterstwo ludu polskiego z polską szlachtą.

W *Psalmie Wiary* powiada poeta, że między narodami są narody wybrane, które przez męczeństwo mają wywalczyć wyższy stopień miłości i braterstwa, wyższe o Bogu pojęcie. Takim wybranym jest nasz naród.

W *Psalmie Nadziei* powiada poeta, że właśnie w Polsce jest zadatek przyszłości całego świata, a grób jej był kołyską nowej zorzy, ale zamiast próżnych żalów trza »uderzyć w czynów stal!«

W *Psalmie Miłości* wzywa poeta, aby zgodnie z wolą Bożą podjąć trud anielski, walczyć ze złem i ciemnotą a zaniechać podżegania ludu, bo złe środki nie wiodą nigdy do dobrego. Poeta pragnie tego cudu, aby razem z szlachtą przy wspólnej pracy dla dobra ojczyzny znalazł się lud polski, gdyż społeczna nienawiść jest zatrutym plonem niewoli. Ten zły posiew jest dla Polski największą męką, jest »bolem bolów«. On to rozwiązuje sumienia, mięsza rozumy, zbrodnię zamienia pozornie w cnotę, podżega do bratobójstwa, dzieciom do rąk daje sztylety.

Umęczoną ojczyznę otoczyły wszystkie duchy złości, fałszu, ciemności, nienawiści; kuszą ją i katują, aby zniesławić i do zbawienia ludzkości nie dopuścić. Lecz ten ból, choć najsroższy jest ostatni. Jeżeli go przetrwa, a pokusom nie ulegnie, stanie się nieskalaną mistrzynią wszechmiłości. Należy tedy rzucić hajdamackie noże, ażeby nie ściągnąć klątwy wieków, ażeby nie odwlec Królestwa Bożego na ziemi, ażeby nie uledz rozbiciu, bo »nie przypadek rządzi światem« lecz »cnota jest najwyższym rozumem«, bo Polska po zmartwychwstaniu wyrzecze się tych morderców, którzy śmieli targnąć się na jej sławę.



Zygmunt Krasiński.

Ostatni z psalmów *Psalm Wiary* jest ostatnim słowem religijno-filozoficznych przekonań Krasińskiego, ale nie zawiera już tylu i tak wielkich myśli, jak »Psalm Miłości«.

Oprócz tych psalmów, które obok jego »Przedświtu« zawierają najpiękniejsze perły miłości ojczyzny, napisał Krasiński wiele jeszcze innych utworów, jak powieści, poematów i drobniejszych wierszy, odznaczających się zawsze głęboką myślą i urokiem słowa. Za to jego wielkie ukochanie tej biednej ojczyzny czcimy wszyscy pamięć jego! Czcimy — ale nie czcijmy jej tylko słowem, ale niech czyny nasze idą w myśl jego wielkich wskazań!

BEREZYNA.

Powieść historyczna z r. 1812.

Straszna przeprawa.

Straszny, trzydziestostopniowy, mróz chwycił ziemię. Pola i lasy wymarły.

A jednak szeroka nizina po obu stronach Berezyny roi się mrowiskiem ludzi, koni, zaprzęgów artyleryjnych, dział, furgonów i taborów wszelkiego rodzaju. Wydłużone kolumny piesze, na kształt węźów, pełzną po tych obrazach śnieżnych, wiją się skróś lasów, szukają dla siebie przejścia śród bagien i trzęsawisk, które, mimo potężnego mrozu, nie stężały jeszcze dostatecznie i gotowe są pochłonąć w topielisku swem tysiące ofiar niebacznych.

Inne rojowisko ludzkie, inne kolumny, liczniejsze od poprzednich, zwartym pierś ieniem otoczyły dokoła nizinę, zatkały wszelkie przejścia, przesmyki i wąwozy, i jakby potwornemi, ku środkowi wysuniętemi mackami zbliżyły się w wielu miejscach ku tamtym, zewsząd otoczonym. Olbrzymie, o dziesiątkach wiorst obwodu czarne kolisko i ruchome, wewnątrz zamknięte gromady plamią nieskazitelną białość tych nieobejrzanych, śnieżnych obszarów.

Zbliska widok stokroć straszniejszy, pełen trudnej do wysłowienia grozy.

Pochód szkieletów i mar. Te szczątki żałosne armii, do niedawna najpotężniejszej i najpiękniejszej w świecie, dziś podobniejsze do orszaku tragicznych maszkar, niż do wojsk regularnych. Całe kupy idą bez broni. Głowy otulone w zawoje z chust i futer, w szłyki, w szmaty.

Na wyschniętych, zczerniałych twarzach ślady strasznych trudów, nocy bezsennych, przewlekłego głodu, który skręca wnętrzności. W oczach osłupiałych przerażenie i niemal obłęd.

Mróz dokonał reszty.

Po każdym noclegu i postoju setki zmarzniętych trupów zostaje na miejscu. Kto się ociągnął w marszu i pozostał w tyle, kto zniemożony do ostatka przysiadł przy drodze na moment, ten już nie powstawał, lecz stygł na miejscu, znacząc swym trupem ślad niedawnego przemarszu.

Z głodu, z trudów i trwóg nieustannych, z mąk niewysłowionych i cierpień nie do zniesienia serce zastygło w skrzepłej piersi i stało się na nędzę cudzą obojętne, jak głaz. Gdy towarzysz, resztę sił tracąc, z jękiem padał na drodze, nikt nie wyciągał ręki, aby go podnieść. Od ogniska z mozołem roznieconego i strzeżonego z zazdrością zwierzęcą, kijem odpędzano natręta, jak psa.

Niedola i rozprzężenie Wielkiej Armii doszły do szczytu...

. . . .

Pod Studzianką, po moście skleconym naprędce za sprawą ofiarnego bez granic poświęcenia saperów francuskich, Napoleon przeprowadził szczątki swej armii na prawy brzeg Berezyny.

Uszedł cało ze zgubnej zasadzki, przerwał wiązania olbrzymiej sieci, zarzuconej nań ze wszech stron przez jenerałów rosyjskich.

Jednak, mimo szczęśliwie odbytej przeprawy, armia pozostawała zawsze jeszcze pod grozą zagłady.

Mróz-wilk wyszczerzył dopiero teraz na dobre swe białe kły i zagryzał nimi codziennie tysiące ofiar. Armia nieprzyjacielska naciskała ze wszystkich stron. Z tyłu, z boków i z przodu poszczególne korpusy wojska rosyjskiego czyhały na lada sprzyjającą sposobność, aby uderzyć na niesforne, zdemoralizowane tylu klęskami kupy Francuzów, zapędzić je w matnię, zgnieść do reszty zgnębione szczątki Wielkiej Armii, wyciąć i wziąć do niewoli, a wraz z nimi i samego Napoleona. Lotne oddziały Kozaków Płatowa, na podobieństwo niezliczonego stada czarnych kruków, chciwych żeru, towarzyszyły nieodstępnie temu żałosnemu odwrotowi, rzucając się co chwila z dzikimi wrzaski na skrzydła uchodzących kolumn, urywając, gdzie co się da, rzucając zgrozę i szerząc popłoch śród tych mas zmieszanych, bezbronnych.

Przeciw całej potędze wodza rosyjskiego Kutuzowa, zmniejszonej zresztą wskutek zabójczych mrozów do trzydziestu tysięcy, Napoleon miał pod bronią jedynie resztki swej starej gwardyi, oraz szczątki korpusu polskiego, również stopniałego do 1200 ludzi. Poza temi szczupłemi siłami, zdolnemi jeszcze do boju, pozostałe masy nie prze stawiały już żadnej wartości bojowej. Przebrane w różnorodną odzież, jaka tylko mogła choć nieco zabezpieczyć od mrozów, dawno porzuciwszy broń, na sam widok ukazującego się w pobliżu nieprzyjaciela podpadały panicznej trwodze, traciły głowę i gotowe były pójść pod miecz tak bezbronnie, jak stado owiec.

Jedni tylko Polacy, z całej armii, zachowali w całości swoją artylerę z tego niesłychanego pogromu. Straszliwy mróz wyciskał z oczu krwawe łzy, a jednak twarde dłonie polskie nie wypuszczały broni. W niej był cały ratunek, jedyna nadzieja ocalenia honoru i życia.

Jakoż, zaraz po przejściu Berezyny, korpusowi polskiemu przypadł w udziale chwalebny los otwarcia na prawym brzegu drogi dla armii skróś przemagające liczbą zastępy rosyjskie Wittgensztejna.

Ciężki, choć pełen chwały, był to dzień dla korpusu polskiego. Bój zacięty wrzał od wczesnego rana. Dowództwo nad korpusem przechodziło kolejno od jednego jenerała do drugiego, gdyż wodzowie polscy wystawiali się na największy ogień i każdy z nich został ranny. Książę Józef Poniatowski, chory już od dłuższego czasu, ustąpił był władzy naczelnej jenerałowi Zajączkowi, któremu odłamek granatu nad Berezyną zgruchotał nogę. Wówczas komenda nad Polakami przeszła do Dąbrowskiego. Ten śród zażartej walki dostaje postrzał w rękę. Dowództwo nad korpusem obejmuje jenerał Kniaziewicz, który niebawem od kuli działowej otrzymuje kontuzyę w nogę.

Wówczas z kolei bierze komendę jenerał Józef Krasiński i prowadzi nieustraszenie resztki korpusu w głąb wąwozu, na prawym brzegu Berezyny, w zamiarze otworzenia dalszej drogi dla szczątków Wielkiej Armii, wlokącej się z tyłu neregularnymi kolumnami.

Pochód przedstawiał trudności, niełatwe do zwalczenia. Pomimo blisko trzydziestostopniowego mrozu, trzęsawiska nie zamarzły, i żeby je przebyć, trzeba było w wielu miejscach układać gać z chróstu, po której z wielkim trudem przeciągano działa. A to wszystko wobec nieprzyjaciela, który następował zewsząd, wobec drugiego wroga, nielitościwego mrozu, który kąsał jak pies, który gubił liczniejsze tysiące ofiar, niż kula i bagnet nieprzyjacielski.

Niebawem korpus polski wszedł w wielki bór sosnowy, ciągnący się na prawym brzegu Berezyny i obsadzony przez tyralierów rosyjskich. Jenerał Krasiński wnet rozciągnął linie swoich tyralierów i wraz głuchy, odwieczny bór zabrzmiał echami gęstych strzałów. Czając się za drzewami sosen olbrzymich, brnąc w zaspach śnieżnych po kolana, żołnierze co tchu nabijali broń i gęstym ogniem sypali ku nieprzyjacielowi, którego wydłużony łańcuch ogarnął knieje i ostępy boru, na kształt niezmiernego włoka.

Skradając się od sosny do sosny, łańcuch tyralierów polskich ciągle postępował naprzód, wbijając

nieprzyjaciela coraz głębiej w las. Miejscami, gdzie drzewa stały rzadziej, jazda polska przypuszczała szarże i zmuszała nieprzyjaciela do cofania się w zarośla. Tu i ówdzie nieprzebyty, zdawało się, bór rzednął i zaczęły przebłyskiwać wśród drzew nieprzejrzane pustkowia śnieżne.

Batalion pułku 12 go, łącznie z resztkami legii nadwiślańskiej, przedarł się w ten sposób przez las i naraz ujrzał się wśród szerokiej przestrzeni bezdrzewnej, zawalonej zaspami śniegu.

Przebywszy wąską grobelkę, usypaną na mokradłach i trzęsącą się pod stopami, jak galareta, żołnierze ujrzeli, w pewnej przed sobą odległości, most, strzeżony przez nieprzyjaciela.

Roty jegrów oraz sotnie Kozaków obsadziły ten przesmyk wąski, otoczony zewsząd niezamarzającemi nigdy bagnami, topieliskiem grząskiem i nieprzebytem. Pod zdradziecką osłoną śniegu czaiły się zewsząd zgubne trzęsawice i czyhały na stopę niebaczną, pod którą też wnetby się rozwarła grzązka bezdeń.

W ten sposób dla batalionu polskiego pozostawała jedyna droga — odwrotu. Pozostawało także inne wyjście: siłą przebić się przez żywą zaporę.

Dowódca batalionu, Rutkowski, oficer wielkiego serca, nie zawahał się co do wyboru ani na moment. Spostrzegłszy nieprzyjaciela, rzucił ostrzeżenie swym szeregom:

— Baczność! Z ramienia broń!

Sękate, zesztywniałe od mrozu mazurskie garście krzepko uchwyciły broń. Tymczasem sotnie kozackie drgnęły i nakształt stada czarnego ptactwa, ruszyły z miejsca w zamiarze uderzenia z boków na zbliżającą się kolumnę.

Pozostawał moment czasu dla odmienienia frontu i zwrócenia czoła kolumny przeciw nacierającemu nieprzyjacielowi.

Zaczem zaczął się ruch ogólny, wykonany z taką dokładnością, jakby na mustrze. Dowódca zatrzymał pluton czołowy czwartej kompanii o 24 kroki od prawego skrzydła kompanii piątej, na nowej linii bojowej.

Zaczem padła komenda:

— Broń do oka!

Czas był najwyższy. Kozacy z dzikim wrzaskiem pędząc na swych zwinnych, małych konikach, byli już o pięćdziesiąt kroków przed frontem.

— Cel!

— Pal!

Salwa runęła, jak przeciągły grom. Śród Kozaków wszczęło się straszne zamieszanie. Kilkadziesiąt trupów ludzkich i końskich pozostało na śniegu, reszta, nakształt stada zwichrzonych kruków, rozprysła się i rozleciała na wsze strony.

Po tem zwycięztwie, dość łatwem, czekała cięższa praca. Przed mostem stały w zwartej kolumnie groźne roty jegrów, najeżone stalowym grzebieniem bagnetów. Żołnierz stary, wyćwiczony w walkach kilkoletnich z Turkami, nawykły do trudów i zwycięztw.

Podpułkownik Rutkowski natychmiast sformował mój oddział w ściśniętą kolumnę i kazał wziąć broń do ataku. Szeregi pochyliły bagnety i krokiem spiesznym ruszyły do ataku, brnąc w śniegu głębokim. Łoskot przeciągłej salwy runął w powietrze i pierścień białych dymów otoczył jegrów. Grad kul uderzył czoło spieszącej kolumny. W naczelnych plutonach połowa żołnierzy legła na miejscu.

Lecz wtem zagrzmiał donośny głos Rutkowskiego:

— Do ataku! Biegiem!

Zmieszane na jeden moment szeregi zeszlusowały się i kolumna, jak lawina, runęła naprzód. Zanim roty jegrów zdążyły powtórnie dać ognia, już żądła bagnetów polskich rwały ich piersi. Zawrzała straszna walka, bez pardonu, na śmierć. W żołnierzach polskich tkwiło to jedno poczucie, że jeśli nie otworzą sobie drogi skróś szeregów jegrów, to powracać już stąd nie mają poco, gdyż zdusi i zdławi ich na śmierć wróg stokroć gorszy, mróz, śród tych obłędnych pustkowi i trzęsawisk, z których nie masz wyjścia. Cała rozpacz tej myśli nieodbitej, cała wściekłość, nagromadzona w duszy żołnierskiej z powodu tylu klęsk i nędz wycierpianych znalazła sobie ujście w straszliwych ciosach bagnetu, przeszywających pierś wroga, który tu stanął pomiędzy tymi niedobitkami a ich ocaleniem.

Furya natarcia była tak straszna, że bitne szeregi jegrów nie były zdolne do dłuższego oporu. Po krótkiej, morderczej walce bębny uderzyły pobudkę do odwrotu. Bezładne, zmieszane szyki rosyjskie zaczęły tłoczyć się do mostu i spiesznie go przebywać, cofając się poza błota.

Wówczas Rutkowski postanowił uwieńczyć zwycięztwo czynem zuchwałym. Widząc jegrów, tłoczących się w odwrocie u mostu, skinął na najbliższą kompanię i w mgnieniu oka sformowawszy ją w klin, sam, z dobytym pałaszem, stanął na czele i z impetem uderzył ponownie na nieprzyjaciela.

Klin, najeżony bagnetami, werżnął się w zbitą masę jegrów i odrazu rozłupał ją na dwoje. Część większa, która zdołała wtoczyć się na most, rejterowała z pośpiechem, inna zaś część, w sile jednej roty, odcięta wskutek nagłego ataku od mostu, otoczona zewsząd przez żołnierzy pułku 12-go, natychmiast złożyła broń. Reszta jegrów, cofając się spiesznie, dała jeszcze zdala kilka salw, zaczem skryła się za wydmami śniegu, zamykającemi horyzont.

Droga dalsza dla niedobitków Wielkiej Armii była otwarta. Podpułkownik Rutkowski sformował swój zwycięzki batalion w kolumnę do marszu. Naraz zachrzęściał śnieg pod kopytami konnego oddziału i od tyłu ukazał się nadjeżdżający w skok niewielki orszak.

Marszałek francuski w otoczeniu sztabu, zapragnął dotrzeć do awangardy swego korpusu. Żołnierze sprezentowali broń. Podpułkownik Rutkowski wysunął się przed front, salutując mu dobytym pałaszem.

Marszałek bystrym wzrokiem ogarnął pobojowisko, zasłane trupami swoich i nieprzyjaciół.

— Miałeś pan utarczkę? — rzucił pytanie.

— Nieprzyjaciel próbował przeciąć nam drogę przy tym moście — brzmiała odpowiedź podpułkownika — Czerwoni Dońcy i pułk jegrów.

Wzrok marszałka padł na oddział rozbrojonych jegrów, otoczony podwójnym szeregiem żołnierzy pułku 12 go.

— Wziąłeś pan jeńców? — padło z ust marszałka pytanie tonem najwyższego zdziwienia.

Podpułkownikowi Rutkowskiemu ledwie dostrzegalny uśmiech zaigrał pod wąsem.

— Garstkę, która nie zdążyła w ucieczce dostać się za most — odpowiedział niedbale.

W szarych, wypukłych źrenicach marszałka odbiło się bezgraniczne zdumienie. Z nieukrywanym podziwem patrzył w milczeniu na tych bohaterskich żołnierzy, którzy nietylko, że nie ulegli wszystkiej nędzy i klęskom tego okropnego odwrotu, lecz jeszcze rwali, gdzie się dało, przemożnego nieprzyjaciela, odnosili nad nim zwycięztwa i brali jeńców.

K O N I E C.

Prace Sejmu krajowego.

We środę, dnia 14 lutego, Sejm krajowy został odroczony do jesieni. Przez ten czas, mimo muzycznej obstrukcyi Rusinów, Sejm, o ile się dało, pracował wydatnie, aby sprawy krajowe, zwłaszcza najpilniejsze, zostały załatwione. Pełnych posiedzeń Sejmu było sześć. W ciągu pięciotygodniowej sesyi, od 11 stycznia do 14 lutego, praca posłów ograniczała się do poszczególnych komisyi. Przeważną część czasu zabrały rokowania polsko-ruskie nad kwestyą reformy wyborczej. Po całych dniach obradowały nad tą sprawą kluby, prezydya i prezesi klubów przy udziale namiestnika i marszałka krajowego. Wydział krajowy przedłożył Sejmowi w ubiegłej sesyi 94 sprawozdań, z których 17 zostało przez Sejm załatwionych. W tej liczbie znajdują się przeważnie przedmioty pierwszorzędnego znaczenia. Uchwalono przedewszystkiem prowizoryum budżetowe na 9 miesięcy na podstawie budżetu przez komisyę zestawionego w roku 1912. Prawidłowa gospodarka nie dozna przeto żadnej przerwy, a różne korporacye i instytucye, zasilane subwencyami z funduszu krajowego, otrzymają potrzebną pomoc finansową.

Z przedłożeń ustawodawczych załatwiono kilka projektów ustaw melioracyjnych; ustawę o uwolnieniu od dodatków autonomicznych kraj. Centralnej Kasy dla Spółek rolniczych we Lwowie; ustawę o gwarancyi kraju dla pożyczki kolejowej m. Lwowa w wysokości 6 milionów koron; ustawę kanałową dla Krakowa i kilka ustaw o pożyczkach dla reprezentacyi powiatowych. Z ważniejszych przedłożeń administracyjnej natury uchwalono fundusz 10-milionowy na zasiłki na budowę szkół w gminach wiejskich i miasteczkach; fundusz 5 milionowy na bezprocentowe pożyczki na budowę szkół w miastach; uchwalono dodatki drożyźniane dla nauczycieli ludowych, oraz wezwano Wydział krajowy, aby w porozumieniu z Radą szkolną krajową przedłożył na jesiennej sesyi projekt regulacyi płac nauczycielskich; podwyższono do 10 milionów koron fundusz pożyczkowy na cele przemysłowe; uchwalono wdrożyć starania o budowę kilku kolei lokalnych; uchwalono przedłożenie o krajowym zarządzie sprzedaży soli i wreszcie dwa przedłożenia o całym szeregu petycyi nauczycielskich o policzenie lat służby, podwyższenie emerytury lub dary z łaski.

Niełatwe miała zadanie większość sejmowa polska w ubiegłej sesyi. Rusini — ponieważ Polacy nie chcieli się zgodzić na wszystkie ich żądania w sprawie reformy wyborczej — wytężyli siły, aby nie dopuszczać do uchwał, mimo że były one zarówno dla ruskiej, jak dla polskiej ludności konieczne. Czynili też wszystko swą szaloną, wrzaskliwą, niegodną ludzi cywilizowanych obstrukcyą, żeby wyprowadzić posłów polskich z cierpliwości, aby posiedzenia Sejmu zawichrzyć a salę sejmową uczynić widownią brutalnych awantur. Mimo to posłowie polscy nie dali się unieść naturalnemu zresztą oburzeniu. Spokojnie, poważnie, nic na dzwonki i trąbki Rusinów nie zważając, załatwili szereg pierwszorzędnych dla kraju, więc i dla ludności ruskiej spraw, oraz dziewięciomiesięczne prowizoryum budżetowe, które pozwala do jesieni Wydziałowi krajowemu prowadzić dalej bez przeszkody gospodarkę krajową. Polacy, bez różnicy stronnictw i stanów, tak posłowie włościanscy, jak szlachta i demokraci miejscy raz jeszcze okazali zdolność rządzenia i dojrzałość polityczną, a tylko takie przedstawicielstwo może skutecznie pracować dla dobra i przyszłości kraju. Daj Boże, aby zgoda stronnictw polskich w Sejmie trwała i nadal.



Potęga i Wolność.

(Fantazya).

Gdzieś, na najwyższych szczytach Tatr naszych, długo już... długo... stoją dwie dumne, majestatyczne postacie kobiece i patrzą... patrzą.. w mglistą, szarą dal.. Są to Potęga i Wolność dawnej Polski!

Stoją i smutnym wzrokiem spoglądają na ziemie, których wraz z ich królami tyle lat strzegły, osłaniały i broniły przed niejednokrotną nawałą wroga, — na te skarlałe pokolenia dawnych ziem tych mieszkańców, które to pokolenia karłowaciejąc coraz więcej, — zapominały o ojczyźnie, aż wreszcie przez niegodne swe postępowanie, z którego skorzystali zajadli wrogowie, — Ojczyznę ukochaną w grób wtrąciły a Je, owe potężne sojuszki, wygnały hen! na skalne, wichrowe turnie.

Stoją i czekają.. rychłoli karły zaczną odradzać się, olbrzymieć, aż przetarłszy oczy ze snu samolubów i kretów ziemnych, ujrzą ogromny głaz, pod którym leży pogrzebana matka-Ojczyzna, z wiernymi Jej synami.

Wtedy, wtedyto karły-olbrzymy, zlawszy swe siły w jedno, potężnem pchnięciem odwalą kamień grobowy, aż ten w proch rozleci się — i wyjdzie z grobu w promiennej jasności nasza Święta-Umęczona...

Stróże grobu pierzchną w trwodze... a ona, Święta, pójdzie, kędy jasne wschodzą zorze... i różanym świtem niebo płonie... pójdzie, brylantów kędy lśni się moc po barwnych łąk kobiercach... kędy zbóż chwieje się morze, a to złote morze pokłoni się swej Pani i Królowej do stóp samych... i zaszumi Jej hymn pochwalny a ona zrozumie tę mowę: pól i zbóż...

I pójdzie hen! jasnymi szlakami pól i łąk, cienistymi gajami, gdzie Ją witać będą chóry skrzydlate i roje muszek brzęczących, — pójdzie hen! do wiosek do chat i tam miłośnie przytuli dzieci do serca, swe najbiedniejsze ale i najumiłowańsze dzieci, z pól i wiosek, utuli w żalu i wleje jasne promienie pociechy do dusz...

I pójdzie dalej... dalej... po wszej ziemi swojej, po swem królestwie, którego tak długo... długo... już nie widziała.

A od Owej Swiętej, jasnością promiennej, rozświetli się cała ziemia polska i uderzy w jeden wielki hymn dziękczynienia ku Bogu, który wskrzesi nam Umęczoną-Ojczyznę naszą. — A jednak tem wszystkiem, ponad drżącą z radości ziemią wzbije się nasz orzeł biały i poszybuje w jasne gorejące słońce — słońce wolności.

Wtedy one: Potęga i Wolność zstąpią z wichrowych turni, by dalej żyć w wiecznem przymierzu z Zmartwychwstałą! Tak marzą w mroźną styczniową noc owe dwie dumne postacie kobiece na skalnych szczytach Tatr i patrzą w mglistą szarą dal, w której snuje się tylko grono: karłów samolubów...

Stefania Szybowiczówna.

KUSZENIE PRZEZ SZATANA.



A jako Panu szatan na pustyni, kusząc, chciał niby dać wielkie dostatki, tak samo dzisiaj bardzo wielu czyni, aby cześć wyrwać dla Niego i Matki... Za grosz chce z duszy wyrwać ziarno wiary, wskazując obce bezbogie sztandary.

Przed swemi bogi korzyć nam się każe i złotym cielcom wybijać pokłony; chce, byśmy własne kalali ołtarze za uśmiech czuły znikomej mamony — chce, byśmy wiary swej się my zaparli i w walce z Bogiem żyli i pomarli.

Lecz jak nasz Zbawca nie słuchał szatana i precz odrzucił jego pokuszenia, tak my nie padniem nigdy na kolana przed tem, co w drodze stoi do zbawienia, ale wytrwamy w czci Maryi i Boga, bo nam zbawienie i dusza jest droga!

Antoni St. Bassara.

Trzy rocznice.

Jeszcze Polska na szczycie była swej potęgi,
Jeszcze Rosyi stolicy zagrażał Batory,
A już Skarga wyczytał z przeznaczenia księgi,
Że wróg pęta nałoży na naród nasz chory,
Że przyjdą dni męczeństwa i hańby i klęski
Na lat dwieście przewidział **Piotr Skarga Pawęski.**

Gdy się spełniać zaczęły proroctwa natchnione,
A wróg siłą, podstępem nam wojska rozbraja,
Podniósł naród swe dłonie rozpaczą zemdlone
I przysiągł na ustawy z dnia trzeciego maja.
A chociaż konstytucya nie przetrwała długo,
Czcijmy jej twórcę księdza **Kołłątaja Hugo.**

I w niewoli nam swoje Bóg zsyłał proroki,
Co zbawienie widzieli w miłości i wierze,
Co nas wiedli do Boga nad ziemskie obłoki,
Co nieśli całe życie Ojczyźnie w ofierze.
Prorokiem tym, co pali wybawienia błyski,
Jest Duch wielki, natchniony, jest **Zygmunt Krasiński.**

Rokrocznie palim Polsce żałobne gromnice,
Oświecamy strzaskane przeszłości kolumny...
Święćmy więc i w tym roku trzy wielkie rocznice
Wieszczów, co siłą słowa Matkę zbudzą z trumny!
Niech nas uczy miłości, do czynów uzbraja
Duch **Skargi, Krasińskiego,** księdza **Kołłątaja.**

J. Majcher.



Zygmunt Krasiński.

(W setną rocznicę urodzin).

Trzy razy Polska jękła przy rozbiorze,
Trzech wielkich wieszczów zesłałeś o Boże...

Kiedy już Polska legła z wycieńczenia
W walkach o wolność z przemocą trzech wrogów,
I ta niewola w dalsze pokolenia
Sroga trwać miała pośród cierni, głogów,

Kiedy żal wielki ogarnął Polaków
Za utraconym rajem swej Ojczyzny,
Kiedy już w Polsce brakło polskich znaków,
Bo je wróg zdeptał, zniszczył, raniąc blizny,

Kiedy już znikąd nie było ratunku,
Prócz wspólnej mocy i Boga na niebie —
Naród zgnębiony w tym wielkim frasunku
Nie widział drugich — nie widział i siebie...

Wtedy zabłysła trójca wielkich wieszczów,
Którzy pochodnię niosą przed narodem,
By trochę przejrzał z pośród chmury zgliszczów
I szedł wytkniętych kierunków ogrodem...

Tym trzecim mężem — to Zygmunt Krasiński:
Razem w tej trójcy głosi z Bożej wiary,
Że nie zaginął jeszcze naród polski,
Zadzwoni „Zygmunt", kiedy miną kary...

Głos jego z tronu potężny zadźwięczy
Jak Polska długa, szeroka i wielka,
Głosząc nowinę, że wróg już nie dręczy,
Wolna już Polska, jak ongi od wieka!...

Adam Jesionek.

HYMN.

Królowo polska, Królowo aniołów,
Ty, coś na świecie przebolała tyle,
Gdy Syn Twój zstąpił do ziemskich padołów,
Skróć umęczonej Polsce Twej mąk chwile!
Królowo polska, Królowo aniołów,
Roztocz ponad nią tęczę Twej opieki,
Odwiąż jej ręce od katowskich kołów,
Bądź jej aniołem teraz i na wieki!

Królowo polska, Królowo aniołów!
Lecz wiesz zarówno, jakim blaskiem płonie
Ukrzyżowany — wniebowzięt po zgonie,
Nie daj nas sieciom piekielnym na połów!
Nieśmiertelnemi na śmierć zbrojna leki,
Wykaż znów śmierci na nas, że jest niczem,
Wskrześ nas, o Pani, przed świata obliczem,
Bądź nam aniołem teraz i na wieki!

Królowo polska, Królowo aniołów!
Ten świat się rozpadł i rozdziera siebie —
Lecz żadna z jego rozerwanych połów
Już się nie modli Maryo, do Ciebie.
My jedni tylko, paląc się na stosie,
Wciąż ślemy modły w Twój bezmiar daleki —
Poznasz, Królowo, poddanych po głosie;
Bądź nam aniołem teraz i na wieki!

Królowo Polski, Królowo aniołów,
Lilio bez zmazy, Ty Gwiazdo poranna,
Mieczem boleści siedmiokrotnie ranna,
Wiesz, co rozpaczy wrzącej w sercu ołów,
Co krzyż i gwoździe i rany i ciernie,
Wiesz, co krwi ziemskiej i łez ziemskich cieki
I jak konania ból boli niezmiernie:
Bądź nam królową teraz i na wieki!

Zygmunt Krasiński.

Tajemnice powodzenia w życiu.

Życie ludzkie nie jest zabawką, lecz najpoważniejszem zjawiskiem na świecie.

Największym wrogiem każdego człowieka są jego wady własne i namiętności. Dlatego trzeba je mężnie zwalczać, a kto tego dokona, ten osiągnie powodzenie w życiu.

Bądź wytrwałym w zwalczaniu przeciwności, a czyń to bez smutku i dręczących myśli, lecz swobodnie, z pewną wesołością. Mimo tej wesołości traktuj życie poważnie. Zdawać sobie bowiem musisz jasno sprawę z tego, że na tym świecie masz dużo do czynienia i że nie masz ani chwili do stracenia.

Pamiętać powinniśmy o tem, że przeciwności, jakie napotykamy w życiu, istnieją po to, ażebyśmy się uczyli pokonywać je, a przez to rozwijać te zalaty, których nam wciąż jeszcze niestety bardzo brak, jak: cierpliwość, punktualność, słowność i t. p. Człowiekowi zdaje się nieraz, że wszystko sprzysięgło się przeciw niemu, gdy w rzeczywistości wszystko jest po to, aby mu pomagać do osiągnięcia ostatecznego celu. Obowiązkiem więc człowieka jest zrozumieć ten plan Boży rzeczy istniejących.

Kto żyje nad stan swego majątku, swoich dochodów lub swego zdrowia, ten popełnia lekkomyślność, która powoduje szereg przykrych następstw. Gdy wydatki są wyższe od dochodów, gdy kredyt jest nadmiernie obciążony, wtedy nastąpić musi przesilenie i kara. Ludzkość cierpi dziś bardziej niż dawniej, żyjemy bowiem w czasach powszechnego przeciążenia, przynajmniej w zawodach wyższych. A kto bierze na siebie stanowisko, urząd lub pracę, której nie dorósł, ten musi być przygotowany na cierpienia. Bo człowiek powinien przerastać jego siły. Kto ze swej siły życiowej wydaje więcej, niż go stać na to, ulegnie karze i to nietylko on sam, lecz i wszyscy ci, którzy od niego zależą, a więc żona i dzieci.

Najniebezpieczniejszą rzeczą, utrudniającą a nawet uniemożliwiającą powodzenie w życiu jest gadulstwo. Dlatego ludzie powodzenia milczą o swoich zamiarach. Jeżeli jednak zachodzi potrzeba wtajemniczenia drugich w nasze plany, winniśmy to czynić jedynie z tym zgóry postanowionym zamiarem, aby zasięgnąć tylko zdania ludzi doświadczonych, o których wiemy, że są nam życzliwi i nie zdradzą nas. Gadulstwo ma także tę złą stronę, że osłabia energię. Kto nie umie panować nad swoim językiem, ten nie będzie miał powodzenia w życiu.

Patrz i słuchaj.

Co zyskasz przez patrzenie i słuchanie, jest to wiele więcej warte niż to, co zyskasz przez mówienie. Nie zawsze trzeba mówić, co się wie, ale zawsze trzeba wiedzieć, co się mówi.

Każda rzecz niech leży na swojem miejscu, to tajemnica porządku.

Kupować wyroby swoich rodaków i popierać przedewszystkiem przemysł kraju rodzinnego, to tajemnica bogactwa narodowego.

Nic tak nie czyni człowieka starym, jak nienawiść, nic tak nie wywołuje brzydkich zmarszczek jak zazdrość, nic tak nie skrzywia rysów twarzy, jak ciągłe wzruszenia niespokojnego sumienia. Na każdej zmarszcze napisane jest odpowiednie uczucie.

Kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Kto nic nie robi, tylko czeka, ten popada w długi.

Każdą pracę rozpoczynać trzeba z wiarą. Bez wiary bowiem niema powodzenia. Gdybyśmy bowiem rozpoczynali, nawet może i nietrudną rzecz, z tem przeświadczeniem, że jej wykonać nie zdołamy lub że przeszkód, które staną naszym dążeniom na przeszkodzie, nie przezwyciężymy, wtedy rzecz może i łatwa stałaby się dla nas trudną, a praca nasza nie osiągnęłaby tego celu, do którego dążymy. Gdy jednak do rzeczy nieraz niewykonalnej napozór zabierzemy się z tem silnem przekonaniem, że starania nasze i trudy musi uwieńczyć pomyślny skutek, wtedy jakoś dziwnie przeszkody znikają, a my ze zdziwieniem spostrzegamy się u celu naszych marzeń. Taka wytrwałość i to głębokie przeświadczenie o możliwości ukończenia naszych przedsięwzięć ułatwia nam je ogromnie i zbliża cel naszych usiłowań. — Praca więc wytrwała, połączona z silną, niezachwianą wiarą, przynosi obfite owoce.

Upiór w trumnie.

(Humoreska).

Zdarzyła się ta niezwykła przygoda, którą mam zamiar opisać, zwykłemu oficerowi pruskiemu w pikielhaubie, dem Herrn Hans von Brückendrücken.

Rzecz zaś miała się jak następuje:

Było to podczas manewrów w roku 190*. Zdarzyło się, iż oddział pana Hansa von Brückendrücken biwakował w jednem z miasteczek kraju zabranego.

Pan Hans siedział właśnie z kilku kolegami w knajpie przy kuflu, kiedy wszedł do pokoju, w którym ciągnęli sok jęczmienny, tęgi jegomość, w którym bardzo łatwo było obeznanemu ze stosunkami, jakie panują w Poznańskiem, poznać obywatela ziemskiego z okolicy. Był to bowiem typowy dorobkiewicz z pruskiej krwi i kości.

Przybyły przedstawił się siedzącym przy stole oficerom, jako Fryderyk von Wirowitz, właściciel pobliskich wiosek, Liebesdorfu i Mühlenhofu.

Słowo po słowie, rozmowa się ożywiła, poczęto omawiać tegoroczne manewry, skarżyć się na trudy i niepowodzenia, roztrząsać stosunki polityczne i ekonomiczne w państwie, przedewszystkiem zaś w kraju zabranym, a sok jęczmienny począł płynąć szerszem korytem. Przeciągnęło się to dość długo, a że już zmierzch począł zapadać, było to bowiem przed wieczorem, więc pan von Wirowitz pożegnał przedstawicieli potęgi pruskiej i odjechał do Mühlenhofu, gdzie mieszkał. Przy pożegnaniu zaprosił ich do siebie, oni zaś przyrzekli mu zjawić się gremialnie w Mühlenhofie w najbliższą niedzielę, będą bowiem biwakować w okolicy do przyszłego tygodnia.



W niedzielę zjawili się wszyscy, jak obiecali, u pana von Wirowitza, który na ten dzień uroczysty zaprosił też kilku sąsiadów i znajomych z rodzinami. Przyjęcie było wspaniałe.

Nadeszła północ. Goście z okolicy już się porozjeżdżali, a nasi panowie w pikielhaubach gotowali się do drogi, ustępując ostatni z posterunku.

Jechali początkowo wszyscy razem, omawiając z zadowoleniem i pewnem uczuciem żalu zarazem minione przy kufelku w miłem i wesołem towarzystwie chwile, a że byli obecnie rozlokowani w całej okolicy zdala od siebie, jeden więc po drugim opuszczał koleżeńskie grono, zdążając do swej kwatery. Stało się wskutek tego, iż Herrn Hans von Brückendrücken, który miał najdłuższą drogę do przebycia, pozostał sam tylko ze swym rumakiem, podróż swą bowiem, jak i jego towarzysze, odbywał konno.

Noc była ciemna i pochmurna, w powietrzu było parno i gorąco, zanosiło się na wielką burzę z ulewą. Wkrótce zerwał się wicher, napełnił powietrze szumem gałęzi zielonych drzew, a na świecie taka zapanowała ciemność, iż jadący oficer nie mógł dojrzeć nawet swej dłoni, w której trzymał uzdę Aby nie zmylić drogi, puścił konia wolno, powierzając się jego niezawodnemu instynktowi.

Droga wiodła przez dość duży las. Właśnie oficer wjeżdżał w jego gęstwinę, kiedy poczęło łyskać i grzmieć, a po chwili lunął deszcz jak z cebra.

Zapuściwszy się nieco w las, koń stanął nagle, jak wryty, i pomimo wszelkich usiłowań oficera, który zmuszał-go do dalszej drogi, nie ruszył się z miejsca. Już zniecierpliwiony Herr Hans chciał zeskoczyć z konia, by przy świetle zapałki zbadać przeszkodę, kiedy łysnęła jasna błyskawica, oświecając drogę leśną, i niech sobie kto wyobrazi, jakie wrażenie odniósł podchmielony oficer, skoro ujrzał leżącą na poprzek drogi trumnę Nim zaś zdołał ochłonąć z przerażenia i zdać sobie sprawę, zmieszał się jeszcze bardziej. Na niebie łysnęło poraz drugi i przy świetle błyskawicy ujrzał zupełnie dokładnie, jak wieko trumny podniosło się i wylazła z niej postać ludzka. Szmer jaki doszedł do jego uszu potwierdził spostrzeżenie. Herr Hans uczuł teraz, iż się mu zrobiło w jednej chwili zimno i gorąco. Przyszło mu na myśl, że to z pewnością jest upiór.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — zawołał.

— I ja chwalę — odezwał się spokojny głos ludzki w odpowiedzi na jego okrzyk.

Usłyszawszy te słowa, Herr Hans zapalił z trudem zapałkę i zaświecił nią mniemanemu upiorowi w oczy. Pruski bowiem oficer nie może pod żadnym warunkiem, nawet w samotności, bez świadków, niczego się bać, tylko samego Pana Boga, to jest Istoty, która wzbudza ufność i żąda miłości od ludzi, a nie bojaźni. Ta zasada tłumaczy nam zupełnie dokładnie przyczynę wielkiego przerażenia Herr Hans, jakie go ogarnęło na widok trumny i wyłażącego z niej upiora. — Przy świetle zapałki ujrzał Herr Hans najzwyklejszego w świecie mieszkańca padołu ziemskiego miast upiora, którego się spodziewał zobaczyć.

Cała rzecz zaś natychmiast się wyjaśniła.

Mniemany upiór, był to najpoczciwszy w świecie stolarz z okolicy, który, jak opowiedział oficerowi w krótkich słowach, otrzymał polecenie ze sąsiedniej miejscowości, by na rano następnego dnia sporządził trumnę. A ponieważ z robotą załatwił się dość późno, postanowił pomimo ciemnej nocy i nadchodzącej burzy zawieźć trumnę na taczkach na miejsce przeznaczenia. W drodze wśród lasu złapała go ulewa, on zaś, aby nie zmoknąć, położył się do trumny i, ponieważ był znużony, zasnął. Zbudzony parskaniem rumaka, podniósł się i wylazł z trumny.

Przygoda pana von Brückendrücken rozweseliła i rozśmieszyła stolarza zarówno, jak i jego samego, skoro ochłonął z pierwszego wrażenia. Z obopólnym głośnym śmiechem, którego przyczyny u obu bardzo różniły się wzajemnie od siebie, rozstali się i udali, każdy w swoją drogę.

Od tego czasu Herr Hans von Brückendrücken opowiadał często w towarzystwie przy sposobności swoją ciekawą przygodę, jaka mu się zdarzyła podczas manewrów letnich w roku 190*, a zwłaszcza, kiedy chodziło o dowód, iż rodowity obywatel państwa bojaźni Bożej naprawdę nie ulęknie się niczego, tylko Pana Boga, wtedy podawał ten wypadek z własnego życia, jako przykład na poparcie swego dowodu.

Arkadyusz Szarek.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ XII.

Podejrzany dym. — Wycieczka. — Ściganie kangurów. — Jezioro Granta. — Powrót do Kominów.

Koloniści wyspy Linkolna raz jeszcze dokoła rzucili oczyma, obeszli krater, a w pół godziny później stanęli już na niższej płaszczyźnie, gdzie przepędzili noc ostatnią. Śniadanie spożyto z takim apetytem, że nie pozostało już nic zwierzyny, ani też orzechów, lecz Penkroff nie troszczył się o to wcale, gdyż sądził, że w drodze uda im się coś upolować przy pomocy Topa. Prócz tego marynarz zamierzał prosić inżyniera, aby dostarczył prochu i parę dubeltówek i był przekonany, że otrzyma to z największą łatwością, bo wszakże już pan Smith potrafił bez krzesiwa i zapałki zapalić ognisko.

Po śniadaniu Cyrus Smith zaproponował, aby inną drogą wracać do Kominów. Pragnął poznać jezioro Granta, przedstawiające się tak pięknie wśród pysznych drzew, otaczających je dokoła. Koloniści, rozmawiając z sobą, uradzili, że choć niema konieczności, aby wszyscy szli razem, jednak lepiej, gdy jedni od drugich nie będą oddalali się zbytecznie. Prawdopodobnie w tych gęstych lasach musiały się znajdować jakieś dzikie zwierzęta; sama ostrożność nakazywała być ostrożnymi. Najczęściej Penkroff, Harbert i Nab szli naprzód, a przed nimi biegł Top, zaglądając w każdy zakątek. Inżynier i reporter szli obok siebie. Gedeon Spillet trzymał w ręku notatnik, aby w nim zapisać natychmiast każde ważniejsze odkrycie lub zdarzenie. Cyrus Smith milcząc, spoglądał wokoło i niekiedy zbaczał trochę z drogi, aby jakiś drobny przedmiot podnieść z ziemi, przyjrzeć mu się i nie mówiąc ani słowa schować go do kieszeni.

— Co on u licha zbiera tak starannie? — mruczał Penkroff. — Patrzę i patrzę, a nie widzę nic takiego, po co wartoby się schylić.

Około godziny dziesiątej koloniści dochodzili już do podnóża góry Franklina, gdzie spotykali tylko krzaki i zaledwie gdzieniegdzie drzewa. Cyrus Smith sądził, że dojdą bez żadnego wypadku do strumienia, który, jak mniemał, musiał płynąć pod drzewami przy końcu doliny. Wtem zobaczył Harberta, powracającego spiesznie, a jednocześnie Nab i marynarz skryli się za skałami.

— Cóż się to stało, Harbercie? — zapytał reporter.

— Dym — odpowiedział Harbert — zobaczyliśmy dym, wychodzący z pomiędzy skał, o jakie sto kroków przed nami.

— Nie pokazujmy się, dopóki nie będziemy wiedzieli, z kim mamy do czynienia — odpowiedział Cyrus. — Więcej obawiam się, niż pragnę spotkać się z mieszkańcami tej wyspy, jeżeli tylko są tu rzeczywiście. Gdzie jest Top?

— Top pobiegł naprzód.

— I nie szczeka?

— Nie.

— Dziwna rzecz. Spróbujmy go przywołać.

Inżynier lekkiem świśnięciem przywołał Topa i dawszy znak towarzyszom, aby na niego zaczekali, wsunął się między skały. Koloniści z pewnym niepokojem oczekiwali skutków tego badania. Rychło Cyrus Smith zawołał na nich. Pobiegli i zatrzymali się nagle, poczuwszy niemiłą woń, roztaczającą się w powietrzu, po której inżynier poznał odrazu, że nie mają czego obawiać się.

— Ten ogień, czyli raczej dym — rzekł do przybyłych — nie zwiastuje nam obecności człowieka, lecz źródło siarczane, którem będziemy mogli leczyć wszelkie przypadłości kataralne.

— Wybornie! — zawołał Penkroff — żałuję doprawdy, że nie mam kataru.

Zbliżyli się do miejsca, z którego dym wychodził i spostrzegli między skałami źródło, które wydawało silną woń siarki. Cyrus Smith skosztował tej wody i znalazł w niej smak trochę słodkawy. Co do jej temperatury, oznaczył ją na 37 stopni Celsiusza ponad zero. Gdy Harbert zapytał go, jakim sposobem mógł to obliczyć, odpowiedział:

— Bardzo łatwym, mój chłopcze. Gdy zanurzyłem rękę w tej wodzie, nie czułem ani zimna, ani ciepła, co dowodzi, że temperatura jej jest równa temperaturze ciała ludzkiego.

Opuścili wkrótce źródło siarczane, które obecnie było dla nich całkiem bezużyteczne i zwrócili kroki do lasu, rozpoczynającego się o kilkaset kroków dalej. Tam, jak się tego domyślano, strumień toczył swe bystre i przejrzyste wody wśród wysokich brzegów czerwonej ziemi. Kolor ten tak uderzał w oczy, że strumień otrzymał nazwę *Czerwonego Strumienia*.

Był to strumień szeroki, głęboki i przeźroczysty, utworzony z wód, spływających z gór, który miejscami płynął wartko, miejscami toczył się wolno po piasku. Dążył on do jeziora, odległego o półtorej mili. Woda w nim była słodka, to jest zdatna do picia, trzeba więc było wnosić, że takaż sama napełniała jezioro. Byłoby to nader ważne odkrycie, w razie, gdyby w tej stronie znaleziono mieszkanie, dogodniejsze nad Kominy.

Nagle całe stado zwierząt, podskakując na kilkanaście stóp w górę, uciekło, przesadzając zarośla tak prędko i tak wysoko, że można było sądzić, iż jak wiewiórki skaczą z drzewa na drzewo.

— Kangury! — krzyknął Harbert.

— Czy one zdatne są do jedzenia? — zapytał Penkroff.

— Duszone w rądlu — rzekł reporter — są nawet wyśmienitą potrawą.

Nie dokończył jeszcze, gdy marynarz, Harbert i Nab pobiegli za kangurami. Daremnie Cyrus wołał, aby się wrócili. Oni zaś napróżno ścigali zwierzynę, uciekającą tak szybko i odskakującą od ziemi jak piłka gumowa. Po pięciu minutach stanęli zadyszani, kangury zaś znikły w lesie. Nawet Top nie był od nich szczęśliwszy.

— Panie Smith — rzekł Penkroff, gdy inżynier wraz z reporterem zbliżyli się do nich — panie Smith, sam widzisz, że fuzya koniecznie nam potrzebna. Czy ją nam pan zrobisz?

— Być może, ale zaczniemy od wyrobienia strzał i łuków, i pewny jestem, że wkrótce nauczysz się z nich strzelać, równie dobrze, jak i australijscy myśliwi.

— Łuki, strzały! — rzekł pogardliwie. — To dobre dla dzieci.

— Nie bądź tak wybrednym, mój przyjacielu — rzekł reporter. — Przez wiele wieków toczono krwawe wojny, nie mając innej broni nad łuki i strzały. Proch wynaleziono nie bardzo dawno, a na nieszczęście, początek wojen jest współczesny z początkiem rodu ludzkiego.

Top, mając może własny interes na względzie, biegał i wietrzył to w tej to w owej stronie i prawdopodobnie, gdyby udało mu się upolować jaką zwierzynę, nie zostawiłby ani kawałka dla swoich panów; szczęściem Nab, domyślając się tego, nie spuszczał go z oczu. Około godziny trzeciej Top zni-

knął w krzakach, a wkrótce potem dało się słyszeć jakieś przytłumione kwiczenie, dowodzące że stacza walkę z jakiemś zwierzęciem.

Nab poskoczył za nim i rzeczywiście spotkał Topa, pożerającego jakieś zwierzę, które w dziesięć sekund później byłoby już całkiem znikło w jego żołądku. Szczęściem Top spotkał całe gniazdo i za jednym zamachem udusił trzy zwierzątka, z których dwa leżały jeszcze rozciągnięte na ziemi. Nab zabrał je i powrócił do towarzyszów, trzymając w każdej ręce zwierzątko, należące do rzędu gryzoniów, i cokolwiek większe od zająca. Żółte ich futra ozdobione były zielonawemi plamami; ogona prawie że nie miały.

Były to prawdziwe amerykańskie króliki, z długiemi uszami.

— Wiwat! — zawołał Penkroff — znalazła się pieczeń! Teraz możemy spokojnie wrócić do domu.

Poszli dalej. Czerwony Strumień płynął ciągle pod sklepieniem olbrzymich drzew. Wkrótce łożysko rozszerzało się tak widocznie, że Cyrus oznajmił towarzyszom, że zbliżają się do jego ujścia. I rzeczywiście niedługo tam stanęli.

Koloniści znajdowali się teraz na zachodnim brzegu jeziora Granta, a oczom ich przedstawił się prawdziwie śliczny widok. Jezioro miało blisko dziesięć kilometrów obwodu. Ku wschodowi, przez zieloną firankę pysznych drzew, przebijały błyszczące fale morza. Na brzegach przechadzały się dzikie kaczki, pelikany, kurki wodne i wiele innych gatunków wodnego ptactwa. Woda jeziora była słodka, przeźroczysta, a ukazujące się często na jej powierzchni koła oznajmiały, że musiały być ryby.

— Śliczne jest to jezioro — rzekł Gedeon Spillet — chciałbym mieszkać nad jego brzegami.

— I będziesz mieszkał — odpowiedział Cyrus.



...Wkrótce kuchnia została zaopatrzona w garnki.

Koloniści, chcąc wrócić krótszą drogą do Kominów, zwrócili się ku południowi i zaczęli przedzierać się przez zarośla, wśród których dotąd nie postała noga ludzka; przeszedłszy je, skierowali się ku płaszczyźnie Pięknego Widoku.

Chcąc z tej płaszczyzny dostać się do Kominów, dość było przejść ją i zejść na dół przy pierwszym zakręcie rzeczki Mercy; lecz że inżynier chciał koniecznie zobaczyć, gdzie i jak odpływa woda z jeziora, aby się przekonać, czy nie będą mogli jakim sposobem zużytkować jej siły, więc szli jeszcze czas jakiś pod drzewami. Tym sposobem, dążąc nad brzegiem jeziora, zbliżali się zarazem do płaszczyzny.

Uszli jeszcze milę w tym kierunku, lecz nie znaleźli upustu, który jednak musiał istnieć koniecznie, skoro dotąd woda nie przepełniła brzegów jeziora; a że było już po czwartej i trzeba było pomyśleć o obiedzie, koloniści zawrócili i lewym brzegiem Mercy doszli do Kominów. Rozpalono ogień. Nab i Penkroff, którzy wspólnie sprawowali obowiązki kucharzy, podali wkrótce pieczeń, z której nic prawie nie pozostało.

Po obiedzie, gdy już wszyscy mieli się udać na spoczynek, Cyrus Smith rzekł do swych towarzyszów, wyjmując z kieszeni próbki różnych minerałów:

— Przyjaciele moi, to jest ruda żelazna, to glina, to wapno, a to jest węgiel. Oto czem obdarzyła nas natura, są to dzieła jej pracy! Jutro na nas przyjdzie kolej.

ROZDZIAŁ XIII.

Co znaleziono na Topie. — Sporządzenie łuków i strzał. — Cegielnia. — Piec garncarski. — Naczynia kuchenne. — Bylica. — Krzyż południa. — Ważne spostrzeżenie astronomiczne.

— Od czego dziś zaczniemy, panie Cyrusie? — zapytał Penkroff nazajutrz zrana.

— Od początku — odpowiedział Smith.

Rzeczywiście musieli zaczynać od początku, gdyż nie posiadali nawet narzędzi, potrzebnych do pierwszej roboty, a nie znajdowali się w tak korzystnych warunkach jak przyroda, która, mając czas przed sobą, spieszyć się i wysilać nie potrzebuje. Ich żelazo i stal jeszcze pod postacią rudy leżały w ziemi, garnki były dotąd tylko niewyrobioną gliną, suknie i bielizna pozostawały do tej chwili w pierwotnym swym stanie, t. j. na grzbietach muflonów lub w łodygach roślin włóknistych.

Otóż tym początkiem miało być zbudowanie przyrządu, wktórymby można przetwarzać materyały surowe. Wiemy już, jak ważną rolę gra ogień we wszystkich podobnych przemianach. Otóż materyały opałowe, jak drzewo lub węgiel, były już gotowe, ale chcąc je zużytkować, trzeba było zbudować piec odpowiedni.

— Na co się przyda piec taki? — zapytał Penkroff.

— Do wyrabiania garnków i misek — odpowiedział inżynier.

— A z czegóż ten piec zbudujemy?

— Z cegieł.

— A cegły?

— Z gliny. Ale czas nam w drogę, towarzysze. Aby uniknąć trudów przenoszenia materyałów surowych, założymy nasz warsztat tam, gdzie będziemy je mieli pod ręką. Nab zabierze zapasy spiżarniane, a do upieczenia ich nie zabraknie nam ognia.

— Tak — odpowiedział reporter — ale kto wie, czy z powodu braku myśliwskiej broni nie zabraknie nam żywności.

— Ach! gdybyśmy mieli choć jeden nóż! — zawołał marynarz.

— Cóżbyś z nim zrobił? — zapytał Cyrus.

— W mgnieniu oka zrobiłbym łuk i strzały, a z pewnością nie zabrakłoby nam zwierzyny.

— Tak, nóż... — rzekł, jakby do siebie inżynier i przypadkiem spojrzał na Topa, biegającego nad brzegiem a w oczach jego zabłysła radość.

— Top, do nogi! — zawołał.

Posłuszne zwierzę przybiegło do pana. Cyrus pogłaskał je, zdjął mu z szyi obrożę i rozłamał ją, mówiąc:

— Oto są dwa noże, Penkroffie!

Marynarz odpowiedział mu podwójnym okrzykiem radości. Obroża Topa była płaska jak klinga noża i wyrobiona z hartownej stali; trzeba więc było tylko każdy kawałek wyprostować i zaostrzyć z jednej strony na piaskowcu, a że w pobliżu znajdowały się takie skały, więc w dwie godziny później koloniści posiadali już dwa ostre noże w mocnej, drewnianej obsadzie.

Koloniści stanęli na miejscu, obfitującym w glinę tłustą, używaną na cegły i dachówki, a więc taką właśnie, jakiej potrzebowali obecnie. Nie mając odpowiednich narzędzi, inżynier postanowił wyrabiać cegłę ręcznie. Całe dwa dni poświęcono tej pracy; glina zmoczona wodą, zmieszana z piaskiem i starannie przerobiona nogami, została podzielona na kostki równej wielkości. Ceglarze z wyspy Linkolna w przeciągu dwóch dni wyrobili ich zaledwie trzy tysiące. Poukładano je rzędami i pozostawiono tak, dopóki nie wyschną dostatecznie, na co potrzeba było trzech do czterech dni.

Zanim przystąpiono do wypalania cegły, trzeba było przygotować dostateczną ilość drzewa, a praca ta zajęła kolonistom aż dwa dni. Obłamywano gałęzie drzew rosnących w pobliżu i zbierano suche, leżące na ziemi. Przy tej sposobności upolowano kilka sztuk zwierzyny, gdyż Penkroff posiadał teraz kilka tuzinów strzał, zakończonych doskonałemi ostrzami. Dostarczył ich Top, zadusiwszy jeżozwierza. Powyrywano natychmiast kolce i poobsadzano je na jednym końcu strzał, na drugim zaś, aby nie zmieniały kierunku w locie, przymocowano po kilka piórek. Reporter i Harbert zostali wkrótce wybornymi łucznikami. Odtąd też spiżarnia w Kominach obficie była zaopatrzona w czworonożną i skrzydlatą zwierzynę.

W czasie wycieczek dokoła polanki, na której założyli cegielnię, myśliwi spotkali raz świeże ślady jakichś zwierząt, uzbrojonych silnymi pazurami. Cyrus Smith zalecił wszystkim ostrożność, gdyż prawdopodobnie w lesie znajdowały się drapieżne zwierzęta.

W parę dni potem Gedeon Spillet i Harbert spostrzegli rzeczywiście jakieś zwierzę, podobne do jaguara. Szczęściem, że nie napadło na nich, gdyż prawdopodobnie nie wyszliby z tej walki co najmniej bez ciężkich ran. Dziś musieli kryć się i ustępować, lecz zato, gdy będą już mieli strzelby, o które Penkroff tak się dopominał, wydadzą dzikim zwierzętom zaciętą wojnę i oczyszczą z nich swą wyspę.

Dotąd nie zaprowadzono żadnych ulepszeń w Kominach, gdyż inżynier postanowił wyszukać, a w najgorszym razie zbudować dogodniejsze mieszkanie. Porobiono tam tylko miękkie posłania z mchu i suchych liści, a koloniści, utrudzeni całodzienną pracą, spali wybornie na tych skromnych łożach. Obliczyli także, ile dni przebywają już na wyspie, i postanowili zapisywać odtąd każdy dzień ubiegły. W środę, dnia 5 kwietnia, upłynęło dni dwanaście, jak wiatr wyrzucił ich na te brzegi.

Jako skutek prac dokonanych, inżynier w dniu 9 kwietnia posiadał już dość znaczną ilość wapna i kilka tysięcy cegieł.

Przystąpiono natychmiast do budowy garncarskiego pieca, gdyż brak garnków i misek ciężko im czuć się dawał. Wkrótce kuchnia kolonistów została zaopatrzona w garnki, miski, talerze, filiżanki, dzbany mniejsze i większe i tym podobne rzeczy. Wprawdzie wszystko to było trochę niezgrabne, nieco krzywe, ale pomimo to dla kolonistów tak drogocenne.

Roboty garncarskie trwały do 15 kwietnia. — Koloniści, zamianowani przez Cyrusa garncarzami, zajmowali się tak gorliwie garncarstwem, a gdy inżynier zamieni ich na kowali, staną się równie ochoczymi kowalami. Ponieważ jednak nazajutrz wypadała niedziela, a do tego niedziela ta była pierwszym dniem Wielkiejnocy, wszyscy jednozgodnie postanowili dzień ten święcić, powstrzymując się od wszelkiej pracy. Amerykanie nasi byli ludźmi religijnymi, ich położenie musiało jeszcze silniej rozwinąć ich miłość dla Stwórcy i ufność w Jego nieograniczone miłosierdzie.

Wieczorem dnia 15 kwietnia powrócono do Kominów, po zabraniu reszty wyrobów garncarskich. W czasie powrotu zrobiono nader pożyteczne odkrycie: inżynier znalazł roślinę, zastępującą wybornie hubkę. Tego wieczoru koloniści sutą uraczyli się wieczerzą. Nab ugotował rosół z aguty, szynkę z kabii, miazgę z rośliny trawiastej, która poniekąd mogła zastąpić chleb, na którym zbywało kolonistom wyspy Linkolna.

Po wieczerzy, około godziny ósmej, Cyrus i towarzysze jego wyszli odetchnąć świeżem powietrzem. Wieczór był prześliczny. Było to w pięć dni po pełni. Chociaż księżyc nie wszedł jeszcze, niebo srebrzyło się już tem bledziuchnem i słabem światłem, któreby można nazwać brzaskiem księżyca. Błyszczały gwiazdozbiory podbiegunowe, a mocniej nad wszystkie jaśniał Krzyż Południa. Cyrus Smith wpatrywał się przez kilka minut w tę pyszną konstelacyę. Zamyślił się a potem rzekł:

— Harbercie, wszak dziś mamy 15 kwietnia.— A więc, jeżeli się nie mylę, jutro będziemy mieli jeden z tych czterech dni roku, w którym czas prawdziwy zgadzać się będzie z czasem średnim, wskazywanym przez zegary, to jest, moje dziecię, jutro słońce przejdzie przez południk wtenczas właśnie, gdy zegary wskazywać będą południe. Różnicę może stanowić kilka sekund. Jeżeli więc będzie pogoda, oznaczę dokładnie położenie wyspy na kuli ziemskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA POPIELEC.

Czas zapustny kończy się,
Kładzie kres zabawie wszelkiej.
Ja, o smutku postnym śnię
I Chrystusa Męce wielkiej.

Karnawału błogie dni
Przeszumiały, kieby wiatr,
O ich szczęściu ktoś tam śni,
Jak o wojsku w łonie Tatr.

Rycerz tańców, muzyki:
Przesycony jest życiem;
Przywdział smutku płaszczyki
Wraz z Popielca przybyciem,

Smutny rycerz pokuty
Potrząsł głowę popiołem,
W postne więzy zakuty
Zasmuca wszystkich społem.

Kościół smutek opiewa
W wyrazie »Gorzkich Żali«,
Rozczulony tłum śpiewa...
Boleść serce mu pali.

Lecz, nadzieję ma w sercu,
Że pokuty czas minie:
Na wiosennym kobiercu
Chrystus sztandar rozwinie!...

Walenty Pasierb.



Ocho! kaput ze wszyćkiem! Mięsopust się skoncył i przysed długi pust, łtóry bendzie trwał śtyrdzieści dni i śtyrdzieści nocy, to razem osiemdziesiąt. Z nocami to se ta jesce człowiek da jakoś radę, ale z dniami to będzie gorzy. Jak tu na przykład mozna ino raz na dzień porządnie se pojeść a śniadanie i wiecerzą zbyć donicką bascu i rynecką zimiaków, bo chleba, jako jedzenia codziennego to się nie rachuje.

Jedno ino cłeka pociesa, ze pust przecie kiedyś się skońcy i przyjdzie cas, ze zywot się naprawi.

Mięsopust się skończył a w Zatracony Wsi przesed bez zadny większy urocystości, bo nikt nikomu głowy nie rozbił, ani gnatów nie połamał. Tych trochę gębów pokaliconych w karcmie po pijaności i siniaków ponabijanych na zabawach, to się nie rachuje, bo takie rzecy, to się ta i w poście codzień trafiają.

Najgorzy na mięsopuście wysed Jantek Pokrzywa, bo od samych godów wynosił do Mośka to ćwiartkę zimiaków, to garniec zyta tak, ze na pust braknie mu na jedzenie wszyćkiego. Padają, ze się na Saksy wybira, ale on ta i tam niewiele wskóra, bo robić się mu nie chce — a ino na pijatykę ma chrapkę.

Nie lepi mięsopust przesed i dla panienek wselakiego kalibru w Zatracony Wsi: buciary se podarły, ślipia jaz się jem powykrzywiały od patrzenia za jakiem śturkacem a tu nic, bo bez tę drogość na świecie chłopy od zeniacki zdaleka się trzymają. — Bez to, choć na świecie wszyćko drozeje i z kuzdem dniem w górę idzie, to wselaki babski gatunek codziennie tanieje i niedługo dziesięć tego za szóstkę dostanie.

Bez całuśki mięsopust Weronka Percionka to z grania na granie gnała i juz, juz się jej zdawało, ze chyci Józka od Oliwy, ale Józek ino miłowanie udawał, bo mu dobrze było i gorzałki za Weroncyne piniądze chlapnąć i syra plaskankę ukradzionego mamusi zmamlać.

Padali Weronce i wójtowa i moja grόbarka, ze taki upolowany chłop i siłą do dziwki przyciągnięty, to psu na buty się nie przyda, bo taki, to choć i po weselu, ciągiem będzie od niej odlatywał i choćbyś go na powrózku do niej przywiązał, to się i tak urwie i odleci. Najlepi jak chłop do dziwki sam się ma, to po weselu i kijem z chałpy go nie odgonis.

Tak padali wójtowa, ale Weronka nie słuchała i ciągle Józka łapała, ale go nie złapała, bo Józek to ci jucha chłop morowy, bawić to się bawi, ale od zeniacki to zdaleka.

Inkse dziwki w nasy Zatracony Wsi prawie tak samo robiły i bez to teraz wszyćkie musza śpiwać gorzkie zale.

Z TYGODNIA.

Ks. Adam Sapieha, książę-biskup krakowski przybędzie do Krakowa dnia 1 marca. Uroczyste wstąpienie na tron biskupi odbędzie się w katedrze na Wawelu w niedzielę dnia 3 marca. Dnia 19 lutego w Wiedniu zaprzysiągł cesarz księcia biskupa.

† **Dr. Sebastyan Stafiej.** W Krakowie zmarł długoletni i wielce dla powiatu zasłużony sekretarz Rady powiatowej Dr. Sebastyan Stafiej. Przez długi szereg lat mając sposobność na swojem urzędowem stanowisku ustawicznego stykania się z ludem powiatu krakowskiego, okazywał się przy każdej sposobności prawdziwym tego ludu przyjacielem. Zapisał się też dobrze w sercach ludu krakowskiego, który zwracał się doń zawsze z całem zaufaniem, jak do najlepszego opiekuna, co tylko dobrą rada i pomocą służby w każdej potrzebie, co rozumie i odczuwa serdecznie dolę chłopską. Jako gorliwy katolik, goracy Polak, dzielny obywatel, cieszył się i w Krakowie wielką sympatya i szacunkiem. Nie dziw, że zgon ś. p. Stafieja wywołał ogólny żal w mieście i powiecie krakowskim. Wyrazem tego żalu był wspaniały pogrzeb, który prowadził ks. biskup Nowak w otoczeniu licznego duchowieństwa, trumnę zas przez całe miasto aż na miejsce wiecznego spoczynku ponieśli wdzięczni włościanie.

Zgon ministra spraw zagranicznych. — W Wiedniu zmarł dnia 17 b. m. austro-węgierski minister spraw zagranicznych hr. Aehrenthal. Minister ten mądrą i pokojową polityką rzetelnie zasłużył się monarchii. On to bardzo szczęśliwie, mimo poważnych trudności ze strony Rosyi i Anglii, przeprowadził aneksyę tj. przyłączenie Bośni i Hercegowiny do Austro-Węgier, oraz wydobył państwo z ciężkich zawikłań wojennych, jak pamiętamy bowiem, po przyłączeniu Bośni groziła wojna ze Serbią a za Serbią stały potężne mocarstwa. Następcą hr. Aehrenthala zamianował cesarz hr. Berchtolda, który będzie prowadził dalej tę samą politykę, co hr. Aehrenthal. W ostatnich czasach hr. Berchtold był ambasadorem austro węgierskim w Petersburgu.

Rada państwa zwołaną została na dzień 5 marca.

Dr. Biliński, prezes Koła polskiego mianowany został wspólnym, austro-węgierskim ministrem skarbu i zarządcą Bośni i Hercegowiny w miejsce bar. Buriana, dotychczasowego ministra.

Z wojny włosko-tureckiej. Potwierdzają się wiadomości, że Arabowie prowadzą wojnę w sposób nieludzki, gdyż zabijają wszystkich żołnierzy włoskich, których biora do niewoli. Rząd turecki zdaje sobie sprawę z tego, to też dowódcy tureccy ogłosili, że wypłacą Arabom nagrodę pieniężną za każdego żołnierza włoskiego, żywcem schwytanego do niewoli, chcieli ich bowiem w ten sposób powstrzymać od mordów. Do tej pory jednak ani jeden Arab po nagrodę się nie zgłosił, to znaczy, że wolą oni mordować dalej jeńców wojennych włoskich.

Rzeczpospolita chińska. Zgromadzenie narodowe chińskie wybrało jednomyślnie wszechwładnego dotąd ministra i doradcę rodziny cesarskiej, Juanszikaja, prezydentem rzeczypospolitej i zażądało, by przybył do miasta Nankinu, gdzie ma być siedziba rządu. Angielskie gazety piszą, że przyszłość Rzeczypospolitej chińskiej jest bardzo niepewna i czekają ją wielkie niebezpieczeństwa. Rzeczpospolita nie potrafi utrzymać nietykalności obszarów państwa. Można na pewno przypuszczać, że Mongolia, Mandżurya, Tybet a może i inne prowincye odpadną. — Podobno niektóre państwa same parły Chiny do przekształcenia formy rządu, aby je osłabić.

KRONIKA.

Od Redakcyi Na wielostronne zapytania od powiadamy, iż numera od Nowego Roku, jakoteż kalendarz »Roli« jeszcze posiadamy i po otrzymaniu prenumeraty natychmiast wysyłamy. Okładek »Roli« na 1912 rok mamy jeszcze kilkadziesiąt, więc po otrzymaniu 50 h. natychmiast je wysyłamy.

Nasza powieść. W dzisiejszym numerze kończymy druk obrazków historycznych z 1812 r., opisujących zdarzenia pułku 12, któreśmy drukowali pod wspólnym tytułem »Berezyna« a zakończyli właśnie bohaterskim atakiem owego pułku nad rzeką Berezyną.

W następnym numerze rozpoczniemy piękne »Opowiadanie starego górala«, napisane wierszem przez znanego i cenionego poetę a naszego stałego współpracownika Jacka Obrochtę. Opowiadanie to, przyozdobione licznymi obrazkami, zajmie kilka numerów, poczem pomieścimy piękną powieść historyczną, która potrafi zainteresować każdego czytelnika.

Ślub Roberta Rydza, znanego naszym Czytelnikom, utalentowanego poety, z panną Janiną Stawiarczykówną, odbył się w Bochni dnia 20 lutego. Na tem miejscu składamy naszemu Przyjacielowi i Współpracownikowi i jego młodej małżonce życzenia, aby Bóg dobry darzył Ich szczęściem i dobrem powodzeniem w przyszłych dniach Ich wspólnego żywota!

Zamach na biskupa. Pisaliśmy w swoim czasie o zamachu ruskiego księdza, Kamińskiego, na swego biskupa ks. Chomyszyna w Stanisławowie.— Otóż obecnie ogłasza ks. Kamiński w ruskiem piśmie dyecezyalnem, że dopuścił się strasznego i gorszącego występku wobec osoby biskupa, a także innych kapłanów, uznaje się winnym i że dopuścił się swego czynu w stanie opilstwa i nieprzytomności. Do tego pisma dołączone jest pismo biskupa Chomyszyna, w którem podaje biskup do wiadomości, że przebaczył wszystko ks. Kamińskiemu, a tylko dla utrzymania karności zabronił mu wykonywania obrzędów kapłańskich w stanisławowskiej dyecezyi.

Proces o ucieczkę Siczyńskiego. W Stanisławowie toczył się przez kilka dni proces przeciwko dozorcom więziennym, oskarżonym o ułatwienie ucieczki mordercy namiestnika hr. Potockiego, Mirosławowi Siczyńskiemu. Dnia 19 b. m. zapadł wyrok, mocą którego dozorca Nuda skazany został na 4 lata ciężkiego więzienia, obostrzonego postem, ciemnicą i twardem łożem. Tarnawski na 3 lata ciężkiego więzienia. Resztę dozorców, mianowicie; Malarza, Kotiuszkę i Cieślikowa uwolniono od winy i kary.

(P. B.) **Nieszczęśliwy wypadek.** Dnia 9 lutego niejaki Ściana z Nowej wsi miał jechać do Krakowa składać egzamin na konduktora. Właśnie miał wsiadać do wagonu, gdy wtem ruszył pociąg. Nieszczęśliwy pośliznął się, przewrócił się i odniósł ciężką ranę w głowę. Nazajutrz zmarł.

(J. S) **Skutki nowej karczmy.** W gminie Knapy powiatu tarnobrzeskiego, otrzymał konsens wyszynkowy żyd, Mordka Korblik, i postawił karczmę przy drodze publicznej, wiodącej do Baranowa. Od dnia 6 sierpnia 1910, gdy się tu przeprowadził, były już cztery bitki, w których się aż krew lała. Ostatni raz, dnia 10 lutego, był w karczmie niejaki Szymon Smykla, a pod ten czas przyszła po wódkę niejaka Anna Brocyna. Smykla ją zaczepił z powodu jakichś bajek, ona zaś pobiegła do domu i przyprowadziła swojego męża, Stanisława Brocynę, aby się pomścił za to na Smykli. Zaczęła się bójka na noże, skutkiem której Stanisław Brocyna leży ciężko ranny w szpitalu a Szymon Smykla siedzi w areszcie. Do czego to doprowadza karczma!

Znowu szpiegostwo w Galicyi. Na polecenie policyi lwowskiej aresztowano w Brodach dwóch niebezpiecznych szpiegów: Stanisława Rędziejowskiego i Jana Koguta, którzy od dłuższego czasu pośredniczyli pomiędzy rosyjskim sztabem wojskowym, a rozmaitymi jego wysłannikami w Galicyi. Przy Kogucie znaleziono list skreślony tajnem pismem z poleceniami, co do których twierdz ma przeprowadzić szpiegostwo. W ślad za Rędziejowskim i Kogutem nastąpiły dalsze aresztowania we Lwowie, aresztowanych jednak wkrótce wypuszczono na wolność. Policya lwowska jest już na tropie jeszcze innych osób, które pozostawały w bliskich stosunkach z Kogutem.

Groźny pies. Na ostatniej wystawie psów w Wiedniu jedna z nagród przypadła psu z rasy buldogów, który się wabi »Dingo« i jest własnością pewnego budowniczego. Pies ten wsławił się też jako pies policyjny. Gdy zbliża się ktoś podejrzany, wystarczy zawołać »ręce w górę«, a buldog groźnem warczeniem powstrzymuje zbliżającego się i nie pozwala mu ruszyć się z miejsca.



Raz dwaj włamywacze zakradli się wieczorem na strych pewnego domu w Gersthof. Służąca, która usłyszała podejrzane szmery, wypożyczyła sobie Dinga od właściciela, mieszkającego w najbliższem sąsiedztwie i poszła z psem odważnie na strych, gdzie dwóch drabów właśnie gotowało się do ucieczki z plonem kradzieży. Ale groźny Dingo stanął w drodze i żaden z drabów nie ważył się ruszyć. Przyszła wreszcie policya i ptaszków odprowadziła do klatki. Dzielny zaś Dingo dostał pół łokcia kiełbasy. Obrazek nasz przedstawia ten wypadek.

Jak okradają wychodźców w pociągach? Z Ameryki wracał w nocy włościanin z powiatu liskiego, w Galicyi wschodniej, Pawło Gotowski, wioząc ze sobą zaszyte pod podszewką kamizelki 1440 kor. Pieniądze te krwawo zarobił, pracując przez trzy lata w kopalniach amerykańskich i nie oglądając świata bożego. Jechał z wesołą miną na święta Bożego Narodzenia, obliczając już naprzód, ile pola kupi, co dobuduje i jak się zagospodaruje. Za Oświęcimiem wszedł do pociągu jakiś młody człowiek, przysiadł się do wychodźców, pytał skąd wracają, gdzie przenocowali, ile zarobili itd.

— Dobrze to — mówił — żeście już w Galicyi, między swymi. Teraz już wam nikt z waszej krwawicy nic nie ukradnie, ani nie odbierze.

Przy tych słowach pilnie baczył na ruchy każdego. Gotowski zaraz pomacał się po piersiach i zdradził się, inni uśmiechnęli się pod wąsem, bo wysłali pieniądze przez banki naprzód.

— Mam cię! pomyślał opryszek i przysiadł się do niego. Około północy wszystko pospało się za Krakowem. Wówczas rzezimieszek rozpoczął robotę, rozpiął chłopa i ostrym nożem przeciął mu kami-

zelkę, skąd z za podszewki wyciągnął całą gotówkę. Po dokonaniu tego rabunku na jednej ze stacyi zniknął. Chłop tymczasem spał i chrapał w najlepsze. Zbudził się dopiero w Jarosławiu, pomacał za kamizelkę i struchlał: pieniędzy nie było. Zrozpaczony wysiadł w Przemyślu i udał się na inspekcyę, płacząc i przeklinając złodzieja. — Podobne okradanie wychodźców w czasie powrotu jest na porządku dziennym. Trzeba się więc mieć zawsze w pociągu na baczności.

Przytomność umysłu dziecka. W Wiedniu niedawno temu zakradł się złodziej do pewnego mieszkania i majstrował koło biurka, gdzie spodziewał się znaleźć pieniądze. Na to weszła właśnie gospodyni mieszkania, lecz nim zdołała krzyknąć i zawołać pomocy sąsiadów, złodziej potężnem uderzeniem pięścią w głowę, powalił ją na ziemię.



Posłyszała z dalszych pokoi łoskot upadającego ciała czteroletnia jej córeczka i ujrzawszy przez uchylone drzwi matkę, leżącą na podłodze i obcego człowieka, wpadła do sąsiadów z okrzykiem, że mama zabita. Ci wtargnęli natychmiast do mieszkania i spłoszyli złodzieja. Gospodyni wkrótce odzyskała przytomność. Wypadek ten widzimy przedstawiony na naszej rycinie.

(F. K.) **Nowe Koło TSL.** Dnia 11 b. m. odbyło się w Hermanicach na Śląsku austr., w polskiej szkole ludowej zgromadzenie. Między innymi przemawiał p. Pawełek, który w krótkich słowach skreślił cele i działalność TSL. Z pomiędzy obecnych przeszło 30 osób zgłosiło swe przystąpienie do zawiązującego się Koła TSL.; jest więc nadzieja, że będzie ono dosyć liczne. — Oby się tak działo we wszystkich gminach.

(F. K.) **Pożar.** W piątek, dnia 9 b. m., około godz. 9 wieczór, spłonęło w Żywocicach całe gospodarstwo chałupnika, niejakiego Pielszymka. Na miejsce pożaru przybyła sikawka z Górnej Suchej i przy pomocy sikawki zdołano pożar ugasić.

(F. K.) **Śmierć od dymu.** W Cieszynie, na Śląsku austr., w restauracyi p. Glajcara, znaleziono 11 b. m. rano we własnym pokoju martwą kalnerkę; przypuszczają, że się udusiła. Poszedłszy bowiem spać zapomniała zgasić świecę, stojącą na stołku przy łóżku. Od świecy zapaliła się poduszka a tląc się, wytworzyła tyle dymu, że nieszczęśliwa, śpiąc twardo, udusiła się. Dziewczynę znaleziono nazajutrz rano, ale już bez życia.

Zamordowanie brata o 80 halerzy. Przed niedawnym czasem wieczorem powracali dwaj bracia, Franciszek i Jan Beidlowie, z Libawy do Międzyrzecza morawskiego. Po drodze rozpoczęli spór o 80 halerzy, które Franciszek winien był Janowi, w czasie którego ten ostatni począł okładać brata kijem i bił go tak długo, dopóki ten nie padł bezprzytomny na ziemię. Wówczas zabójca, pozostawiwszy brata w przydrożnym rowie, pobiegł do domu, gdzie opowiedział, że brat zamarzł w lesie. Matka udała się z Janem do lasu, gdzie znalazła Franciszka bez życia; zmarł wskutek pobicia i braku pomocy. Zrozpaczona matka na własnych barkach przeniosła trupa syna do domu. Tymczasem władze, dowiedziawszy się o zajściu, zarządziły obdukcyę zwłok, której wynikiem było aresztowanie bratobójcy i odstawienie go do sądu.

Zemsta narzeczonego. W potworny sposób zemścił się w Czerniowcach, na Bukowinie, kandydat adwokacki Dr. Sand na nauczycielce, p. Schmetterling, która była z nim zaręczona, ale związek ten niedawno zerwała. Sand wpadł do klasy, gdzie nauczycielka miała lekcyę, oblał ją witryolem i ciężko poranił nożycami i nożem. Przerażone dzieci zaczęły płakać, w całej szkole powstał popłoch; nadeszła wreszcie policya, która Sanda aresztowała.

Oskarżony usnął na rozprawie! W Pradze wznowioną rozprawę w procesie inżyniera Versbacha o fałszerstwo dowodów szlachectwa, musiano odroczyć, gdyż Versbach zapadł w sen chorobliwy i nie można go było obudzić. Po przebudzeniu inżynier nic nie wiedział, co się w sali działo.

Zemsta kobiet na cmentarzu. W Pradze odbywał się pogrzeb niejakiej panny Endersówny. Popełniła ona samobójstwo, jak wiedziano powszechnie, z powodu nieszczęśliwej miłości do pewnego redaktora, choć w ostatnim liście napisała, że śmierć przyjaciółki ją do tego skłania. Na pogrzebie Endersówny zjawił się ów redaktor. Obecne na pogrzebie kobiety, w liczbie około 200, rzuciły się na niego i chciały go obić. Policyi z trudem udało się wyrwać go z mściwych rąk niewieścich.

Hojny zapis. Zmarły arcybiskup w Zagrzebiu, w Chorwacyi, Posilevic, zapisał 1 600.000 koron na cele kościelne, narodowe i naukowe.

Śmierć czterech ludzi na weselu. W Szamarzewie, w W. Księstwie Poznańskiem, blisko rosyjskiej granicy, gdy chłopi tamtejsi jechali w orszaku weselnym na przystrojonym drabiniastym wozie, zaprzężonym w 4 konie, wóz u zbiegu dróg polnych uderzył tak silnie o kamień przydrożny, iż się rozbił. Uczestnicy wypadli na ziemię z taką siłą, że czterech z nich zginęło na miejscu, zaś inni odnieśli złamania rąk albo nóg. Jedynie woźnica wyszedł cało z tej śmiertelnej jazdy weselnej.

Wybuch w kopalni. Przed pewnym czasem w jednej z kopalń węgla w Harcu, w Niemczech, zdarzyła się okropna katastrofa. Górnicy założyli nabój dynamitowy dla rozsadzenia skały węglowej, jak zwykle się to praktykuje w kopalniach.



Z powodu, że wybuch nastąpił wcześniej, niż się należało spodziewać, spowodował straszne nieszczęście; 11 górników, którzy nie odeszli jeszcze na dostateczną odległość, zostało zabitych na miejscu, kilku ciężko rannych. Chwilę wybuchu przedstawia powyższy obrazek

Nieszczęśliwa podróż przedwyborcza. Czterej duchowni, którzy przedsięwzięli dłuższą podróż agitacyjną po Bawaryi z okazyi wyborów do Sejmu, padli ofiarą strasznego wypadku. Kiedy mianowicie księża ci znajdowali się w pobliżu miasta Würzburga, spłoszyły się nagle konie, zaprzężone do wozu, i mimo rozpaczliwych wysiłków woźnicy, pędziły jak wicher, aż wkońcu roztrzaskały wóz o pobliskie drzewo. Tymczasem jeden z księży z zakonu OO. Augustyanów, chcąc ratować się przed grożącem niebezpieczeństwem, wyskoczył z wozu, lecz tak niefortunnie, iż zaplątał się w lejce, a wleczony przez konie, poniósł śmierć na miejscu. Towarzysz jego, proboszcz Fleischer, odniósł również ciężkie rany i doznał pęknięcia czaszki, skutkiem czego wkrótce zmarł. Dwaj pozostali księża oraz woźnica odnieśli śmiertelne obrażenia, z powodu których zmarli niebawem.

Obława na cyganów. W Prusiech w pewnym lesie trzech cygenów napadło na leśniczego Romanusa, ojca kilkorda dzieci i zamordowało go. W pościg za bandytami cygańskimi wysłano oddział artyleryi pod dowództwem kilku oficerów ze współudziałem żandarmeryi. Podczas tego pościgu jeden z artylerzystów spadł z konia i odniósł śmiertolne obrażenia. Morderców na razie nie ujęto.

Sprawa Damazego Macocha, nieszczęsnego zakonnika, sądzona będzie przez trybunał rosyjski w Piotrkowie dnia 27 i w dniach następnych. Pisma schizmatyckie rosyjskie a także żydowskie i masońskie po polsku wydawane, z wielką lubością gotują się do jak najszerszego opisywania procesu, aby cieszyć się z ludzkich błędów jednego obłąkanego namiętnościami człowieka i urągać całemu Kościołowi katolickiemu. Natomiast uczciwe, katolickie pisma polskie postanowiły jak najmniej pisać o tych bolesnych zbrodniach, by nie szerzyć zgorszenia. Tak samo postąpi oczywiście i »Rola«.

Psy w wojnie. Używanie psów w celu wytropienia nieprzyjaciela, nie jest wynalazkiem nowym. Jeszcze w dawnych czasach używali psów do takiej pracy odkrywcy i zdobywcy niektórych krajów amerykańskich. Psów używali biali do tropienia krajowców Indyan, jak również właściciele plantacyi t. j. pól uprawnych, do poszukiwania zbiegłych z niewoli murzynów. Przed wiekami w szeregach wojennych barbarzyńców prowadzono sfory psów, które z zajadłością rzucały się na nieprzyjacielskie wojsko i walczyły na równi z wojownikami. Do posług śledczych zaczęto używać psów w ostatnich czasach w służbie policyjnej; psy umiejące wytropić złodziei i morderców znane są z naszej kroniki Czytelnikom.



Włosi skorzystali z tej zdolności psów podczas toczącej się obecnie wojny w Trypolisie. Wyuczone w tym celu psy puszczają na poszukiwanie szpiegów arabskich, błąkających się w pobliżu obozu włoskiego i starających się podpatrzeć ruchy wojska. Dzisiejszy nasz obrazek przedstawia odkrycie bandy szpiegów arabskich przez psy, które wpadły na ich trop; zwabieni ujadaniem i naszczekiwaniem, spieszą żołnierze włoscy i strzałami sieją popłoch i śmierć wśród grupy zaskoczonych niespodzianie Arabów.

Pochód rewolucyonistów chińskich. Jak wiadomo, po długich tygodniach walk w różnych miejscowościach rozległego państwa chińskiego zwyciężyła rewolucya i wprowadzono rzecz pospolitą.



Wszędzie prawie, gdzie wojska rewolucyjne pokonały pułki cesarskie, we wszystkich znaczniejszych miastach rewolucyoniści urządzali uroczyste pochody, wśrod których niesiono tablice z napisami: »Wolność dla Chin! Niech żyje rzeczpospolita chińska« itp. Taki pochód przedstawia nasz obrazek.

Wychodźtwo dzieci. Według obowiązujących dotychczas w Stanach Zjednoczonych przepisów, nie otrzymywały pozwolenia na wyladowanie dzieci w wieku do lat 16, jeśli nie jechały w towarzystwie rodziców, zamieszkałych w Ameryce. Obecnie przepis ten został zaostrzony i nawet dzieci jadące do rodziców, nie będą otrzymywały pozwolenia na wylądowanie w Ameryce, jeśli przed wyjazdem z Europy nie zostaną zaopatrzone w dokument na podstawie zeznania notaryalnego ojca, iż obowiązuje się zabezpieczyć dziecku utrzymanie i posiada potrzebne ku temu środki.

Walka z pijaństwem. W Chicago, w Ameryce, wychodzi pismo, poświęcone szerzeniu zupełnej wstrzemięźliwości wśród wychodźców polskich. Pismo wychodzi co miesiąc i rozchodzi się dość szeroko wśród nader licznie mieszkających w Chicago Polaków.

Brak kobiet. U nas w Europie spisy ludności wykazują wszędzie wyższą liczbę kobiet, niż mężczyzn. W Kanadzie, w Ameryce północnej, według ostatniego spisu ludności, jest 3,805.350 ludności rodzaju męskiego i tylko 3,376.937 żeńskiego. Wogóle w Kanadzie narzekają na ogrom pustych przestrzeni, których nie ma kto zaludnić. Gazety kanadyjskie oświadczają, że zwiększenie się liczby kobiet byłoby wprost dobrodziejstwem dla tego kraju.

Wybór pism Zygmunta Krasińskiego. Już od dawna dawał się uczuć wielki brak popularnego wydania dzieł Zygmunta Krasińskiego. I teraz, w roku jubileuszowym, wydano liczne prace o twórczości poety, postanowiono wydać wszystkie jego dzieła, lecz zapomniano, że są jeszcze warstwy, które należy również zaznajomić z twórczością poety, tak dotąd mało znanego i mało rozumianego. Kierując się tą myślą, krakowska »Drukarnia nakładowa« wydała *Wybór pism Zygmunta Krasińskiego*, opracowany przez znanego autora książeczek o naszych wielkich pisarzach, A. Januszewskiego. Broszurka ta dzieli się na dwie części. W pierwszej podaje nam autor w sposób jasny i przystępny pogląd na życie i działalność Krasińskiego, w drugiej mamy wyjątki z najcelniejszych dzieł, opatrzone objaśnieniami. Nie wątpimy,

że wybór ten znajdzie się zarówno w chacie wieśniaczej, jak i w izbie robotniczej, a zarządy Kół TSL., Towarzystwa oświatowe i poszczególni pracownicy na niwie narodowej oświaty poprą to wydawnictwo i postarają się o jego rozszerzenie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Jan Rudzki w R.: Mogła się zdarzyć tu i ówdzie pomyłka, że wysłaliśmy Kalendarz prenumeratorowi, choć zapłacił tylko za »Rolę« a za Kalendarz nie zapłacił. Skoro potem taką pomyłkę zauważymy, nie dopominamy się, bo mamy dużo pracy, ale liczymy na to, że uczciwość każe albo odesłać Kalendarz niezapłacony, albo przysłać 50 hal. gdy się Kalendarz zatrzymuje dla siebie! — Wawrzyniec Wojtan w B.: Cieszy nas bardzo, że Pan tak dużo wie, ale nie wszyscy wszystko znają i ci zapatrują się na to inaczej. Powiastki nadsyłane przez naszych Czytelników mają przedewszystkiem to znaczenie, że zostają zachowane w druku dla następnych pokoleń, a nadto uczą chętnych przelewania swych myśli na papier, zastanawiania się i wprawy w pracy twórczej. Za pozdrowienia serdecznie dziękujemy. — Józef Grzesikowski w Ch.: Wiersz »Zapusty« przyszedł już zapóźno — ten drugi, gdy będzie miejsce, umieścimy. — Franciszek Dziubek w J.: Za pochwały dla »Roli« szczerze jesteśmy wdzięczni, gdyż słowa takie dodają ochoty do dalszej, ciękiej pracy. Osobne wydrukowanie rzeczy, o którą Pan prosi, kosztowałoby kilkadziesiąt koron, bo jeden egzemplarz a tysiąc, to w druku niewielka różnica. Aby zaś rzecz samą napisać, trzebaby znać ową osobę i przebieg jej życia. — M. Łach: Prosimy o coś poważniejszego. — Jędrzej Czarnik w Rz.: Nadesłaną pracę otrzymaliśmy. — Karol Powroźniak w Ś.: Dziękujemy za dobre chęci, ale jakoś sobie poradzimy. — Andrzej Czepiel w B.: Przykro nam, że się Pan zawiódł, ale nie nasza w tem wina. — Józef Mazurkiewicz w Ł.: Myli się Pan, twierdząc, że Podarek szczęścia otrzymali nawet ci, którzy za »Rolę« nie zapłacili, gdyż przeciwnie Podarki rozlosowaliśmy tylko pomiędzy całorocznych prenumeratorów, a na kogo los padł, to losu wina czy zasługa. — Teodozya Nowak w O.: Z artykułu skorzystamy, prace niech Pani przyszle, a zobaczymy. — Maksymilian Kras w Ch.: Z nadesłanego wierszyka poznajemy talent u młodego naszego przyjaciela, choć wiersz w całości do druku jeszcze się nie nadaje, albowiem zawiera w sobie zbyt wiele rzeczy nie łączących się z sobą, podczas, gdy wiersz cały powinien mieć tylko jedną myśl przewodnią, dla której powstał. Jeżeli Pan Bóg dał ową cenną iskrę talentu, nie trzeba jej zaniedbywać, ale kształcić przez czytanie i pisanie, a myśli może wkrótce i w druku się znajdą. Aby dać dowód, jak łatwo przy dobrych chęciach dojść do posiadania własnej gazetki przytaczamy dla innych początek nadesłanego nam wiersza:

»Jeszczem mały, jeszczem młody,
A już cisnę się w zawody,
Żeby jakoś to zaradzić
I gazetę se sprowadzić.
I poszedłem raz do Biały...
Zebrałem ryb koszyk cały,
Kiedy ryby te sprzedałem,
Na gazetę srebro miałem«!

Oby więcej takich było, szczególniej w innych stronach Galicyi, bo w waszej okolicy widocznie mieszkają ludzie rozsądni i nieskąpiący na oświatę, gdyż w tamtych stronach, dzięki Bogu, czytelników mamy liczną rzeszę. — Floryan Miazga w D.: Czy Pan rzeczywiście jest tak dziecinny, czy tylko udaje, twierdząc, że nadesławszy całoroczną prenumeratę, powinien Pan był otrzymać obraz wartości 8 Kor. Czyż w sklepie dadzą Panu za 10 halerzy worek mąki? Że ktoś inny wylosował tak cenny »Podarek Szczęścia« to jeszcze nie powód, że i Pan powinien był wylosować, bo twierdzenie takie oznacza brzydką zazdrość cudzego szczęścia a takiej zazdrości rozumny człowiek wstydzić się powinien! — Stanisław Łoboda w P.: Obraz M. B. Częstochowskiej w ramach i za szkłem kosztuje 8 koron, a nabyć go można u firmy: Jan Pauly w Krakowie ul. Długa 10, lecz trzeba wyraźnie napisać, że taki obraz jak »Podarek Szczęścia« „Roli"; Encyklopedyę w cenie 10 kor. i Rolnika wzorowego w cenie 2 K. 60 h. można nabyć u Macierzy pol. we Lwowie. Taniej nigdzie Pan nie dostanie. — Franciszek Gałuszka w O.: Cieszą nas słowa uznania listu Pańskiego. Musimy to stwierdzić z przyjemnością, że Bracia-Polacy ze Śląska nie szczędzą nam słów pochwały i zachęty do dalszej pracy. Słowa te cenimy wielce, znając wysoki poziom oświaty, jaki posiadają właśnie ci nasi Czytelnicy. Najlepszem objawem uznania dla nas jest to, że »Rola« w okolicach Cieszyna, Frysztatu, Strumienia, Stonawy, Bogumina i t. d. ma bardzo wielką ilość czytelników. — Marki otrzymaliśmy i okładkę wysłali. — Władysław Kwolek w R.: Nadesłany wierszyk niezły, więc zachowujemy go do druku. — Walesław Jaworski w D.: Może Pan domyślił się z »Odpowiedzi Redakcyi« jacy to są niektórzy ludzie. Niedość, że za marne 4 korony rocznie otrzymują 52 numera »Roli« ładnie obcięte i zeszyte a zawierające bogatą treść, ale chcieliby oprócz tego dostać jeszcze obraz za 8 kor. lub Encyklopedyę za 10 kor. My, chcąc, aby jak najwięcej osób zadowolić, nie szczędzimy wydatków i zakupujemy wielką ilość »Podarków« a dlatego później, jako dobrzy gospodarze, bardzo z groszem liczyć się musimy, aby na wydawnictwo pieniędzy nie brakło. Wobec tego nikomu bezpłatnie »Roli« wysyłać nie możemy ani też kredytować. Cenimy w Panu wielką chęć czytania, bo oświata to skarb wielki, więc zachowamy mu numera od początku roku, a gdy Pan prenumeratę nadeśle, zaległe numera poślemy. W nadesłanych utworach znać talent, ale nie są one jeszcze takie, aby je można drukować. N. p. słowa: »Jezusa — dusza«, »terno — pewno«, »ciągnieniu — Wiedniu« i t. p. nie rymują się, a jedno takie wyrażenie psuje cały wiersz. Dlatego Panu odpowiadamy tak obszernie, bo widzimy i cenimy w Panu talent, a gdy Pan zechce pisać uważniej, to i wiersze będą wtedy zupełnie dobre. — Ludwik Ciołczyk w W.; Nadesłane szarady dobre, a że napisane starannie, nie będą zapewne długo leżeć w tece. — L. Molnik w Ł: Uwagi naszych przyjaciół są nam bardzo cenne i jeżeli w nich są uzasadnione życzenia chętnie je uwzględniamy. Dlatego też do życzeń Pańskich w przyszłorocznym Kalendarzu będziemy się starali zastosować. — Jan Nizioł w Z.: Gdybyśmy to wydrukowali, nabawiłby się Pan kłopotu a korzyści żadnejby nie było. — Walenty Pasierb w Cz.: Wszystko nadeszło. — Franciszek Siekaniec: Wszystkiego naraz wydrukować nie możemy. Prace innych jeszcze dłużej czekają, aż przyjdzie na nie kolej. — „R. J." Kraków: Z nadesłanych rzeczy skorzystamy. — Tomasz Tokarz w K.: Do druku trzeba pisać po jednej stronie papieru. Nadesłany utwór pisany chemicznym ołówkiem po obydwu stronach papieru tak się zamazał, że go odczytać nie można. — Marya Wawrzyk w P.: Oczywiście, że każdy utwór trzeba podpisać. Wszystkie utwory wliczamy do konkursu — W. Tylka w C.: Rocznik wysłaliśmy odwrotnie. Kroniki w przyszłym numerze.

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA.

(Ułożył Franciszek Markiewicz).

Dwie nazwy jednakie odmiennej rzeczy,
Tak się tu różnią, że nikt nie zaprzeczy.
Jednej na polu poszukaj bracie,
A druga sama znajdzie cię w chacie.

2. SZARADA.

(Ułożyl Jan Świątek).

Pierwsze trzecie pierzem pokryte ich ciało,
Drugie trzecie kosztuje mozołu niemało,
Oszczędni, pracowici do niego dochodzą,
A niegodziwi ludzie skrycie na nie godzą —
Całość różny pożytek dla ludzi przynosi,
Tu bity zeń gościniec tam most się z nich [wznosi,
To znów pod gmachy służą jako fundamenta,
Piękne zaś i szlachetne możni i książęta
Mają w pierścieniach, a nawet król je w ber-[le nosi.

3. SZARADA.

(Ułożył Ign. Zieliński).

Pierwsze i drugie bohaterzy mają,
Drugie i trzecie w bitce się znajduje,
Całość rzecz bardzo użyteczna
Dzieciom jej nie dajcie, bo jest niebezpieczna.

4. Łamigłówka literacka.

(Ułożył Wład. Sioło).

Nas, dłó, na, mo, pe, drut, a, ty, in, a, ma, zyazm, ni, za, ka, żyk, flan, en, le, to, czy, tu, dyk, ga, nus, fior, no, in, cy, ro, we, po, cen, że, in, ty, la, nin.

Z podanych zgłosek utworzyć 14 wyrazów o podanem niżej znaczeniu; początkowe ich litery czytane z góry na dół mają utworzyć imię i nazwisko poety polskiego, zaś końcowe litery czytane w tym samym kierunku tytuł jego dzieła.

1) Owoc z gorących krajów. 2) Narzędzie. 3) Góry w kraju włoskim. 4) Bardzo szkodliwe owady. 5) Stołeczne miasto Hiszpanii. 6) Kraj na półn. należący niegdyś do Polski. 7) Ptaszek. 8) Warzywo ogrodowe. 9) Imię kilku papieży. 10) Inaczej zapał. 11) Jedna z siedmiu planet. 12) Gatunek drobiu. 13) Znany naród koczowniczy. 14) Siedziba dawnych Kozaków.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 2 marca 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 6 »Roli«: 1. Szarada: **Bolesławita,** 2 Szarada: **Palicą,** 3. Szarada: **Ołów,** 4. Zagadki: a) **Nauka,** b) **Piła,** 5. Tajemniczy bilet: **Inżynier budowniczy,** 6. Szarada: **Zapałki.**

Wierszem otrzymaliśmy następujace rozwiązanie:

»Rolo«! moja »Rolo«! ciebie każdy wita,
I sławi przed światem, bo koisz nam bole.
Treść pierwszej szarady jest: Bolesławita,
A cóż się znów z drugiej szarady wykole?
Hej Panie Dubaju, pewnie to palica,
Nie powiem Ci pewnie, lecz tak mi się zdaje,
Bo drugie i trzecie ładnej panny lica.
A trzecia szarada, co ta znowu daje:
To z pewnością mika, z metali rodziny,
Litera na literze — nauka to będzie;
Piła zaś wyżuwa zębami trociny.
Na chwilkę się człowiek tych szarad pozbędzie.
Teraz tajemniczy bilet w drogę wchodzi:
To Izydor Nunbin, inżynier ze Żywca.
Pomaluśku człowiek ku końcowi brodzi,
Choć nie wiem, czy dobry ze mnie jest odkrywca.
Z zapałem się wziąłem do rozwiazywania,
Przeto nie ustanę, aż dojde do mety,
Bym nie dostał pałka od jakiego drania —
Zapałka uwieńczy rymy wierszoklety.

Walenty Pasierb.

Oprócz tego w oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.: Michał Dudek z Ż., Franc. Tepe. z M. K., Zofia Oraczewska z Ż., Adela Bezokówna z K. M., J. Hirszberg z K., Anna Żebrok z B., Arkadyusz Szarek z S.W., Jan Moś z Cz., Antoni Dutkiewicz z S., Józef Jędrysik z O., Józef Fornal z O., Fr. Szajter z O., Zofia Pawłowska z Z., Wojciech Moroń z Ł., Jan Ozga z K.

* * *

Pierwszą nagrodę p. t. ***Przygody na okręcie „Chancellor“*** wylosował p. **Józef Fornal** z O., zaś drugą p. t. ***Zamek krakowski*** p; **Antoni Dutkiewicz** z S

Potwierdzenia prenumeraty.

Całoroczną prenumeratę nadesłali PP.:

PP: Zwiercan z G. 4·50 — Jaremko Łukasz z L. 4·50 — Tomasz Moskal z K. 4 — Józef Mikuła z G. 4 — Paweł Guziar z G. 4, Jan Kaczor z L. 6 — Orzechowski 4 — Wojc. Woźniak z S. 4·50, Szkoła rolnicza z H. 4 — Józefa Tonkowa z N. 4 — Józef Jarecki z M. 4·50 — Michał Librant z B. 4·50 — Zwierzchność gminna w M. G. U. W. O. H. R. po 4 Kor. — Ks. Skraba z J. 4·50 — Franc. Zajezierski z D. 4 50 — Józef Bartosik z M. 4 — Franciszek Pietrzyk z Ch. 4 — Jan Antonik z ' h. 4 — Józef Blacha z Ch. 4. Józef Herok z Ch. 4 — Andrzej Dziedziak z Z. 4 — Józef Stygar z T. 4 — Jan Żając z P. 4·50 — Dominik Bielak z Ch. 4·50 — Marya Bylica z Cz. 4 50 — Wydz. Rady pow. Dobromil 4 — Żdzisław hr. Tarnowski z Dz. 4 — Franc. Barach z Z. 4 — Zarząd szkoły w S. 4 — Andrzej Cimała z R. 4 — Wincenty Zyder w D. 4.

Oprócz tego nadesłali PP.: Hieronim Kłoda z B. 2 K., Michał Biernat z R. 2 K. — Józef Możdzierz z R. 2. — Wojciech Zbiegieł z S. 2 K. — Michał Wojdała z Z. 2 K. — Jan Machlowski z Z. 2 K. — Brygida Zędor z B. 2 K. — Ferd. Dziama z C. 2 K. Edward Ptaszek z N. 2 K. — Andrzej Ratyński z M. 2 K. — Maciej Nagłok z P. 2 K. — Wojc. Guguła z N. 3 K. 60 h. — Wład. Chorąży z B. 2 K. Stanisław Jakubowski z W. 2 K. — Józef Drag z R. 3 K. — Helena Zając z P. 2 K. — Stanisław Spyrka z T. 5 K. — Michał Nowak z J. 2 K. — Ant. Niemiec z G. 2 K. Andrzej Zając z U. 1 K. — Walenty Leś z T. 2 K. — Franciszek Szczep z G. 1 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 20 lutego

Pszenica	Kor.	11·75	do	12·15	za 50 kg.
Żyto	„	10·25	„	10 70	„
Jęczmień	„	9·30	„	10·10	„
Owies	„	9 90	„	10 70	„
Otręby pszenne	„	7 85	„	7·95	„
Otręby żytnie	„	7·85	„	7·95	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 20 lutego:

Buhaje	Kor.	160	do	300	za sztukę
Woły	„	300	„	410	„
Krowy	„	140	„	250	„
Jałówki	„	120	„	260	„
Cielęta	„	25	„	70	„
Owce i kozy	„	18	„	30	„
Świnie bita waga)		120		140	za 50 kg.

Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.